

Arthur Helliwell

Głos serca

Rozdział 1

Gdzieś na zewnątrz musiała stać babka, przyglądając się odlotowi samolotu.

- Może kiedyś, w przyszłości - odpowiedziała Nora Laird.
- Jeśli ojcu powiesz się w nowym zawodzie, będziemy mogli od czasu do czasu przyjeżdżać na wakacje do Anglii.

- Ale czy babcia nie będzie za nami tęskniła? - dopytywała się z zatroskaną miną Jean, podczas gdy samolot niby olbrzymi ptak wznosił się w górę.

Nora rzuciła na męża przelotne spojrzenie.

- Twoja babka nigdy nie była zbyt sentymentalna. - Po ostrym tonie jej głosu Jean poznała, że matka uważa temat za zakończony.

Szesnastoletnia Jean poczuła nagle przyływ gniewu. Kochała tę wysoką, siwowłosą starą kobietę, której ostre rysy zdawały się odzwierciedlać surowy, dziki i romantyczny krajobraz nękanego sztormami wschodniego wybrzeża.

Nie odezwała się jednak ani słowem. W milczeniu spoglądała przez okienko na szachownicę pól i łąk, myśląc przy tym o Peterze. Zastanawiała się, czy i on, zgodnie z obietnicą, też o niej myślał.

Przypomniała sobie ostatni wieczór nad morzem. Peter trzymał ją za rękę, jego ciemna sylwetka rysowała się na tle rozświetlonej zachodzącym słońcem powierzchni wody.

- Wiesz co? - odezwał się. - Wydaje mi się, że mógłbym cię pokochać...

Jakież to było okrutne! Przecież wiedział, że miała się wyprowadzić do Nowej Zelandii na zawsze. To było ostatnie lato, jakie wspólnie spędzili u babki Laird, a Peter do ostatniej chwili zwlekał z wypowiedzeniem tych słów, które rozpały romantyczne uczucia, jakie dla niego żywiła.

Jej serce biło jak oszalałe. Potem owładnęła nią rozpacz.

- Ależ Peter! Przecież ja wyjeżdżam z Anglii. Wkrótce znajdę się na drugim końcu świata! Może już nigdy więcej się nie spotkamy - powiedziała smutnym głosem.

- Jesteśmy sobie przeznaczeni przez los - usłyszała jego głos. Potem przyciągnął ją do siebie i pocałował...

- Przepraszam panią...

Jean nagle zorientowała się, że ktoś do niej mówi.

Ubrany w ciemny płaszcz krępy mężczyzna o barczystych plecach trzymał w wyciągniętej ręce parę rękawiczek. Jean miała wrażenie, że widziała go już w samolocie.

- Wydaje mi się, że zgubiła pani rękawiczki - powiedział z uśmiechem mężczyzna, lekko uchylając kapelusza.

Jean zdumionym wzrokiem spojrzała na własne rękawiczki, które mocno ścisnęła w ręce.

- To są moje rękawiczki.

- Naprawdę? Mógłbym przysiąc, że upuściła pani swoje rękawiczki, panno... - jego przenikliwe oczy wypatrzyły nalepkę na walizce - panno Laird,

Jean czuła, że ogarnia ją coraz większa irytacja. Kilku pasażerów z rozbawieniem przyglądało się tej dziwnej parze.

- Pozwoli pani, że się przedstawię? Nazywam się Russel, George Russel. Przylecieliśmy tym samym samolotem. - Jakby nie zauważając jej niechęci, ciągnął dalej: Pani z pewnością jest po raz pierwszy w Anglii?

- Wychowałam się tutaj - krótko odparła Jean. Cóż za natarczywość! Przecież nie uczyniła nawet

jednego gestu zachęty wobec tego podstarzałego donżuana, który teraz narzucał się jej w tak prostacki sposób.

- A zatem jest pani Angielką? - George Russel musiał przyspieszyć kroku, żeby za nią nadążyć. - To szalenie ciekawe. Bo trzeba pani wiedzieć, że ja jestem Amerykaninem. Byłem już kiedyś w Londynie, w czasie

wojny. Jak więc pani widzi, nie mam już dwudziestu pięciu lat. - Roześmiał się z rozbawieniem.

Jean pomyślała, że jeśli nie będzie się odzywać, to może on da jej spokój. Ale nie było łatwo pozbyć się takiego człowieka jak George Russel, który zdawał się być odporny na wszelkie zniechęcające gesty.

Potem straciła go z oczu i zapomniała o nim w tłumie nerwowo oczekującym na odprawę celną. Przechodząc przez kontrolę paszportową Jean miała wrażenie, że George Russel zniknął.

Dzięki Bogu, pomyślała z ulgą. Każdą sekundę powrotu do kraju swojego dzieciństwa chciała przeżyć w całkowitym skupieniu i nie miała ochoty, żeby ktoś jej w tym przeszkadzał.

Anglia była jej ojczyzną, tu czuła się naprawdę u siebie. Chociaż ostatnie lata spędziła w Nowej Zelandii, nigdy nawet nie przeszło jej na myśl, że mogłaby tam pozostać do końca życia. Zawsze pragnęła powrócić na wyspę.

Było jej smutno, że rodzice nie mogą dzielić z nią tej radości: przed rokiem oboje stracili życie w katastrofie lotniczej. Pod wpływem tej tragedii Jean nagle zdecydowała się wyjechać z Auckland. Ale nie mogła tak po prostu kupić biletu na samolot, spakować walizek i wyruszyć w podróż.

Jako sekretarka dużego przedsiębiorstwa musiała najpierw uregulować swoje sprawy zawodowe. Sporo czasu upłynęło, nim jej następczyni wciągnęła się we wszystko na tyle, by mogła zająć jej miejsce bez szkody dla firmy.

A poza tym był jeszcze Malcolm, ciemnowłosey, spokojny młody człowiek, z którym Jean od pewnego czasu pozostawała w bliskiej przyjaźni.

Niejeden raz prosił ją, by została jego żoną. I niewiele brakowało, żeby się zgodziła. Ale w ich związku czegoś brakowało. Jean nie czuła przy nim żywszego bicia serca,

wrzenia uczuć. W końcu doszła do przekonania, że nie nadaje się do małżeństwa z rozsądku.

Jednak po śmierci rodziców Malcolm stał się dla niej opoką, która chroniła ją przed samotnością i bólem.

- Wyjdź za mnie, Jean - nalegał Malcolm. Wiesz, jak bardzo cię kocham. Będę się o ciebie troszczył. Jestem pewny, że będziemy szczęśliwi.

Tak, kiedy patrzyła w jego wierne, uczciwe oczy, niewiele brakowało, by ustąpiła. Może małżeństwo z Malcolmem było właśnie tym, czego potrzebowała? Przy nim czuła się bezpiecznie, on nigdy nie opuściłby jej w potrzebie. Ale w głębi duszy tęskniła za miłością, która nie wie, co to rozsądek i ostrożność - tęskniła za namiętnością, która wciągnęłaby ją jak mroczny, ekscytujący wir uczuć.

- To bardzo miłe z twojej strony - wyszeptała, unikając jego spojrzenia.

- Miłe! - W głosie Malcolma przebijała gorycz. - Czy naprawdę tak to widzisz, Jean? - A kiedy nie odpowiedziała, dodał: - Myślę, że będzie lepiej, jeśli na jakiś czas się rozstaniemy.

Jean ujęła jego dłoń i przycisnęła ją do swojego policzka.

- Och, Malcolmie, wybacz mi. Nasza miłość nie jest dostatecznie silna. Spotkasz inną kobietę i szybko o mnie zapomnisz.

- Nigdy cię nie zapomnę, Jean. Jakie masz plany na przyszłość?

- Wrócę do Anglii.

Wówczas Jean sama była zaskoczona, słysząc własne słowa. Aż do tej chwili nie podjęła jeszcze żadnej konkretnej decyzji co do przyszłości. Ale naraz stało się dla niej zupełnie jasne, że nic już jej nie trzymało w Nowej Zelandii. Żyła jeszcze babcia Laird. Dlaczego na jakiś czas nie miałyby u niej zamieszkać?

Nabrała nowej otuchy i energicznie zaczęła się uwalniać od wszelkich zobowiązań w Nowej Zelandii.

Złożyła wypowiedzenie w firmie i znalazła lokatora do swojego mieszkania. Wtedy dostała telegram z Anglii, w którym informowano ją, że babka Laird zmarła w szpitalu. Jean ogarnęła fala najczarniejszej rozpacz.

Jeszcze tylko trzy miesiące, a znalazłaby się przy tej wysokiej, siwowłosej kobiecie, którą tak bardzo kochała! Co teraz miała począć?

- Musisz tam oczywiście pojechać - poradził jej Malcolm. Na pewno trzeba się zająć spadkiem.

- Mój kuzyn Peter sam się tym zajmie. Ale może masz rację. Nie powinnam rezygnować ze swojego planu. - Sprzedała i porozdawała wszystkie meble, spakowała najpotrzebniejsze rzeczy, po czym pożegnała się z przyjaciółmi i znajomymi.

Wkrótce potem otrzymała list z kancelarii notarialnej w Norchester.

Zmarła pani Laird zostawiła bardzo dziwny testament. Jej dom, „Sea Cottage”, wraz z całym wyposażeniem miał otrzymać wnuk, Peter Laird. Swojej wnuczce, Jean Laird, pani Laird zapisała niewielką skrzynkę, marynarski kuferek jej pradziadka, Silasa Lairda...

Jean z niedowierzaniem wpatrywała się w pismo z Norchester. Marynarski kuferek Silasa Lairda! Dlaczego babcia tak postąpiła?

Jean oczywiście doskonale pamiętała ten stary kuferek.

Kiedy była jeszcze mała, babcia często opowiadała jej różne historie o starym Silasie, który szmuglował i pędził bimber, o człowieku, który nie cofnął się nawet przed korsarstwem.

Swoimi maleńkimi paluszkami obmacywała wówczas poczerniałą ze starości skrzynkę, jej okute żelazem kanty i ciężki zamek.

- Co dziadek Silas w niej trzymał? - spytała pewnego razu powodowana nieposkromioną ciekawością. - Czy to był skarb, babciu? Klejnoty? Złoto?

- Nic z tych rzeczy. Prawdopodobnie ukrywał w niej tylko przeschumowane kradzione towary. Ale taki marynarski kuferek ma jednak pewną wartość. Słyszałam, że muzea sporo teraz płacą za takie stare rupiecie.

Jean była wówczas rozczarowana, że z kuferkiem nie wiązała się żadna krwawa, jeżąca włosy na głowie historia. Był to jedynie stary marynarski kuferek zuchwałego przemytnika, i w najlepszym wypadku mógł mieć jedynie pewną wartość uczuciową.

A teraz należał do niej!

Ale dlaczego? Czyżby babka ukryła w nim jakieś drogocenne rzeczy, żeby potajemnie przekazać je w ręce Jean?

Wkrótce się tego dowie. List z Norchester był aż nadto jasny. Babka Laird zostawiła jednoznaczne rozporządzenia. Notariusze mogli wręczyć kuferek tylko do rąk własnych Jean po uprzednim sprawdzeniu jej tożsamości. Jeśli zatem chciała się dowiedzieć, co znajdowało się w kuferku, tak czy inaczej musiała wrócić do Anglii...

A teraz była w Londynie. Wzięła taksówkę na dworzec, gdzie zamierzała złapać pociąg do Saltcreek. W tej wsi babcia spędziła całe życie.

Londyn zmienił się w ciągu tych dziesięciu lat. Nad Tamizą wznosiły się nowe wieżowce, a ruch uliczny utrudniały częste korki.

Ale dwieście mil dalej, na wiecznie zasnutym mgłami wschodnim wybrzeżu, gdzie czas na pewno stanął w miejscu, położona była wieś Saltcreek. Serce Jean ogarnęła tęsknota.

Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie znów ujrzy Saltcreek. A może wysoko na skałach, w „Sea Cottage”, spotka Petera?

Ileż to razy biegła wąską ścieżką, która od plaży wiodła przez stromy klif aż do tego domu!

Kochany Peter! Na myśl o nim oczy zalśniły jej łzami.

Kiedy otrzymała wiadomość o śmierci babki, od razu do niego napisała. Odpowiedź jednak nie nadeszła. Wysłała nawet telegram, w którym zapowiedziała swoje przybycie do Anglii. I tym razem Peter nie zareagował.

To ją zaskoczyło. Przecież Peter i ona byli wówczas tak bardzo zaprzyjaźnieni, że spodziewała się entuzjastycznego listu. Ale bez mała dziesięć lat to jednak szmat czasu, trudno się więc dziwić, że stała mu się obca.

Jean doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że już nie jest tą beztroską, radosną szesnastolatką.

W pierwszym okresie pobytu w Nowej Zelandii pisywała do Petera długie listy o tym obcym kraju, o rozlicznych nowych wrażeniach i ludziach, których spotykała. Peter oczywiście odpowiadał. Pisał, jak bardzo się cieszy, że powoli aklimatyzuje się w Nowej Zelandii. On sam zamierzał wyjechać do Londynu, żeby podjąć pracę w firmie eksportowej.

- Babci będzie strasznie smutno bez Petera - powiedziała wówczas Jean do swojej matki.

- Młodzi muszą iść własną drogą - wymijająco odparła Nora Laird. A Peter ma naturę awanturnika, tak to chyba można określić. Nieodrodny syn swojego ojca.

- Ja lubiłam wujka Harveya - zdecydowanym tonem stwierdziła Jean, która wiedziała, że matka nie znosiła Harveya Lairda.

Nawet ojciec Jean stopniowo tracił wiarę w czystość charakteru swojego brata.

- Jako chłopiec rokował wielkie nadzieje - opowiedział kiedyś Jean. Zawsze był taki wesoły. Dziewczeta po prostu się za nim uganiały. Ale wojna go zmieniła. Tamte lata źle wpłynęły na jego charakter.

- Może przeżył wiele strasznych rzeczy - wtrąciła Jean.

Ojciec zastanawiał się przez chwilę.

- Wydaje mi się, że służba w wojsku nie sprawiała mu przykrości. Zawsze lubił przygody. Niebezpieczeństwo miało dla niego jakiś specyficzny urok. Ale kiedy wojna się skończyła, nie potrafił się ustatkować. A do tego jeszcze te kłopoty z policją...

- Z policją? Ależ ja nic o tym nie wiem!

Ojciec zrobił zagniewaną minę. Wyraźnie był na siebie zły, że zdradził rodzinną tajemnicę.

- Ach, to nic takiego - stwierdził wymijająco. Ale proszę, nie wspominaj matce, że ci o tym powiedziałem. Ona tak łatwo się denerwuje. Od początku była źle nastawiona do mojego brata.

- Ale dlaczego?

- Wolałbym o tym nie mówić. - Głos ojca zabrzmiał tak zdecydowanie, że Jean nigdy więcej nie podjęła tego tematu.

Podczas pakowania wpadła jej do ręki stara fotografia Saltcreek. Chciwie wpatrywała się w każdy szczegół.

Tam, jakby przytulony do skały, stał dom babki o krzywej ścianie szczytowej i maleńkich okienkach, z których można było spoglądać na morze. Po lewej stronie znajdował się pokój Jean. Setki razy wychylała się z okna, by obserwować, jak kutry rybackie wypływają na połów. W swojej wyobraźni snuła przy tym najrozmaitsze marzenia i fantazje.

A tam, po prawej, znajdował się pokój, w którym mieszkał Peter, kiedy w czasie ferii przyjeżdżał z internatu do domu. Razem zbiegali kamienistą ścieżką, która od domu wiodła

prosto na plażę. Ich młode głosy dźwięcznie rozbrzmiewały w świeżym, krystalicznie czystym powietrzu poranka.

We wsi opowiadano, że kiedyś z tej ścieżki korzystali przemytnicy, przenoszący swoją zdobycz pod osłoną nocy do kryjówek: beczułki z francuskim koniakiem, bele najdelikatniejszego jedwabiu i skrzynie z holenderskimi cygarami.

Kiedy tylko osłabła czujność miejscowej żandarmerii, przemycone towary transportowano w głąb kraju. Luksusowe artykuły znajdowały nabywców w wytwornych domach, których właściciele chętnie sięgali po kieliszek koniaku, nie zadając zbędnych pytań na temat jego pochodzenia.

- Czy twój dom naprawdę był kryjówką przemytników? - spytała kiedyś Jean babkę.

Sara Laird uśmiechnęła się.

- Twój prapradziadek był jednym z największych hultajów pod słońcem. To cud, że nie skończył na szubienicy. Trafił do bandy przemytników, kiedy był jeszcze młody i łatwo ulegał wpływom, ale nawet jako starzec przechwalał się swoimi przygodami.

- Ale gdzie oni to wszystko ukrywali? - dopytywała się Jean.

- Mój Boże! Ja sama znam tutaj przynajmniej tuzin takich kryjówek. A jeśli pewnego dnia ktoś będzie burzył ten dom, to na pewno odkryje jeszcze tuzin innych. Chodź, pokażę ci je.

Sara odsunęła kredens, który stał w kuchni przy kominku. Jean odkryła w ścianie przesuwane drzwi. Drewno wypaczyło się przez te wszystkie lata, z trudem więc odsunęły drzwiczki na bok. Mur w tym miejscu był niewiarygodnie gruby: Jean ujrzała wgłębienie, które mogło pomieścić co najmniej tuzin beczulek przemyconego koniaku.

- Tutaj była kiedyś kłapa, a pod nią schody do piwnicy - wyjaśniła babka odwijając dywan pod oknem. Ale twój

dziadek uznał, że to zbyt niebezpieczne. Kazał położyć w tym miejscu nowe deski.

- Jaka szkoda. - Jean była rozczarowana. A gdzie są inne skrytki?

Sara Laird zawahała się.

- Jedna znajduje się w twoim pokoju - wyznała wreszcie.

- Gdzie? Gdzie ona jest, babciu? Nie, lepiej mi tego nie zdradzaj. Sama ją znajdę!

Wbiegając po schodach do swojego pokoju, Jean z trudem poskramiała podniecenie.

Do dziś zapamiętała, jak dobrze ukryty był ten schowek.

Zbadała każdy centymetr kwadratowy podłogi, opukała każdą deskę z osobna. Po godzinie, gdy Peter wrócił z plaży, była rozgorączkowana i zmęczona, ale wciąż jeszcze nie znalazła kryjóWKi.

- Za dziesięć minut będzie herbata - zawołała do dzieci babka, podczas gdy Jean wyjaśniała Peterowi, czego szuka.

- Dobrze, babciu. Zaraz przyjdziemy - odkrzyknął Peter, który lekko przechylił głowę na bok i badawczym wzrokiem przeszukiwał cały pokój.

- Na pewno dokładnie zbadałaś ściany? - zapytał.

- Myślisz, że jestem głupia? - rozzłościła się Jean. Przecież sam widzisz, że wszędzie są tapety. A pod podłogą też nic nie ma. Opukałam każdą deskę z osobna.

Peter podniósł głowę i przyglądał się drewnianemu sufitowi.

- Nie - powiedział w końcu zdecydowanym tonem. Tam też nie ma co szukać. Ukrywanie ciężkich przedmiotów w suficie pokoju byłoby zbyt ryzykowne.

Mnie też przyszło to do głowy. - Jean rzuciła się na łóżko i z nadzieją spojrzała na kuzyna. Peter był taki mądry! On na pewno potrafi znaleźć schowek.

- W takim razie pozostaje już tylko jedno miejsce - zdecydował w końcu. Okno.

Jean wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Co? Myślisz, że wywieszali te rzeczy za oknem na sznurach?

Ale Peter już stał przed oknem, mieszczącym się w dość głębokiej niszy. Również tutaj ściany były wytapetowane. Peter uważnie obmacał wystający murek pod oknem. Nagle wydał tryumfalny okrzyk.

Jean zeskoczyła z łóżka i zobaczyła, jak pod rękami Petera kawałek muru wysuwa się do przodu.

- Coś ty zrobił? - zawołała.

- Znalazłem twoją kryjówkę - spokojnie odparł Peter, klękając przy otworze.

Jean nigdy by nie pomyślała, że ten kawałek ściany pod oknem to tylko atrapa. Gruba drewniana płyta przymocowana była do podłogi zawiasami, a pod parapetem znajdował się zatrzask. Dzięki tapecie całość w ogóle nie odróżniała się od pozostałych ścian. Jean z niedowierzaniem wpatrywała się w głęboki otwór w grubym murze.

- A więc sami to znaleźliście. - W drzwiach stała Sara. - Gdybyście mnie spytali, nie musielibyście się tak męczyć. Wasza prababka przechowywała w tej dziurze zapasy. Mówiła, że tam jest zawsze chłodno i sucho. Ale od wielu lat nikt z tego schowka nie korzystał.

Jean chwaliła się w szkole innym dziewczynkom: Moja - babcia mieszka w prawdziwym domu przemytników.

Była dumna, czując na sobie pełne podziwu i zazdrości spojrzenia koleżanek.

Taksówka ostro skręciła w lewo i Jean znalazła się przed głównym wejściem dworca. Kupiła bilet na pociąg o drugiej trzydzieści. Pozostało jej zatem dość czasu, żeby coś

przekąsić. Wprawdzie nie była głodna, ale koniecznie musiała wypić filiżankę prawdziwej angielskiej herbaty.

Nagle przypomniała sobie, że już jako dziecko bywała w tej samej restauracji. Rodzice zawsze odprowadzali ją do pociągu i prosili konduktora, żeby uważał na ich małą do samego Norchester, gdzie czekała już na nią babka - wysoka, szczupła kobieta w czarnym płaszczu i prostym kapelusiku na śnieżnobiałych włosach.

- A więc jesteś, moja mała Jean - zawsze witała ją tymi samymi słowami. - Już ja się postaram, żebyś znów nabrała rumieńców.

Jean musiała objechać pół kuli ziemskiej i zamieszkać w Nowej Zelandii, żeby sobie wreszcie uświadomić, jak bardzo kocha tę małą, szarą wioskę nad morzem.

- Morskie powietrze sprawi, że nabierzesz sił na cały rok - mawiała babka. I za każdym razem Jean wracała z wakacji tryskając energią i opalona na brązowo.

Później zrozumiała, że Sara Laird była samotną starą kobietą, która żyła już tylko oczekiwaniem na wizyty swoich wnucząt. Ale ta świadomość jeszcze bardziej spotęgowała osobliwy urok, jaki miały dla niej dni spędzane nad morzem.

Jean zastanawiała się, jakim ciosem musiała być dla babki decyzja rodziców o wyjeździe do Nowej Zelandii.

Nagle jakiś dźwięczny głos wyrwał ją z tych sentymentalnych wspomnień.

Cóż za niespodzianka! Od razu cię poznałam, moja droga! Już na pierwszy rzut oka można stwierdzić, że jesteś wnuczką Sary Laird - zawołał ktoś tuż obok niej.

Szczupła, ubrana na czarno starsza pani stała obok Jean uśmiechając się do niej przyjaźnie. Jean ujęła wyciągniętą dłoń i z zaskoczoną miną podniosła się z krzesła.

To ja, Nicola Sharp, moja droga Jean - wyrozumiale podpowiedziała jej kobieta. - Czyżbyś mnie całkiem

zapomniała? Ja wciąż pamiętam, jak co roku odwiedzałaś swoją babkę w Saltcreek.

- Zechce się pani do mnie przysiąść? - zaprosiła starszą panią Jean.

To bardzo uprzejme z twojej strony, ale za dwadzieścia minut mamy pociąg i nie powinniśmy się spóźnić. Nicola Sharp usiadła naprzeciw Jean obdarzając ją słodkim uśmiechem.

Musi mieć pod sześćdziesiątkę, pomyślała Jean. Pani Sharp ubrana była modnie, a fryzurę i makijaż miała trochę nazbyt śmiało jak na swój wiek.

- Chyba mnie sobie przypominasz, Jean? Początkowo nie byłam pewna, czy powinnam cię tak po prostu zagadnąć.

- Uplęnęło już tyle czasu - odparła z wahaniem Jean. Ostatni raz byłam w Saltcreek przed dziesięciu laty.

- Wiem. Byłaś taką miłą małą dziewczynką. - Pani Sharp uśmiechnęła się z jeszcze większą słodyczą. Zawsze powtarzałam twojej babce, że może być dumna z tak udanych wnucząt. Okropnie przeżyłam jej śmierć. Byłyśmy ze sobą bardzo zaprzyjaźnione.

Doprawdy? Jean miała to słowo już na końcu języka, ale w ostatniej chwili zdołała się powstrzymać. Nicola Sharp wstała z miejsca.

- Nie przegap pociągu, moje dziecko. Pewnie już nie możesz się doczekać, kiedy wreszcie zobaczysz Saltcreek. Pociąg odjeżdża punktualnie co do minuty.

Z dziwnym uczuciem w sercu Jean przyglądała się tej szczupłej postaci zmierzającej na peron. To prawda, wieki całe nie była w Saltcreek. Natłok nowych przeżyć mógł wyprzeć i wymazać z jej pamięci niektóre wspomnienia z dzieciństwa.

Ale jedno było dla niej całkowicie jasne: miała absolutną pewność, że w całym swoim życiu jeszcze nigdy nie spotkała Nicoli Sharp.

Rozdział 2

Pociąg gnał na północ. Jean widziała niewyraźne odbicie swojej twarzy w szybie, za którą przesuwał się zupełnie inny niż kiedyś krajobraz. Na miejscu dawnych zagród chłopskich wznosiły się teraz wieżowce, a zakłady przemysłowe wyparły owce i krowy z pastwisk do książeczek z obrazkami.

Przyglądała się jednak temu przemykającemu za oknem krajobrazowi trochę nieuważnie. Myślami wciąż jeszcze krążyła wokół tej dziwnej rozmowy, jaką odbyła w dworcowej restauracji z całkowicie obcą kobietą.

- Czyżbyś mnie całkiem zapomniała? - pytała z wyrzutem pani Sharp.

Tak właśnie było! Mimo najlepszych chęci Jean nie mogła sobie przypomnieć Nicoli Sharp. Miała niemal stuprocentową pewność, że dzisiaj ujrzała tę kobietę po raz pierwszy w życiu.

Powinna była szczerze odpowiedzieć na pytanie pani Sharp. Trzeba było powiedzieć:

- Rzeczywiście pani nie pamiętam. Przy jakiej to okazji się poznałyśmy? I gdzie pani wówczas mieszkała w Saltcreek? Mimo najlepszych chęci nie mogę sobie tego przypomnieć.

Ale sprawa nie przedstawiała się tak prosto. Jeśli bowiem Nicola Sharp zachowywała się w taki sposób, jakby od dawna była przyjaciółką rodziny, to Jean musiała dociec, dlaczego jej tak na tym zależało.

Najwidoczniej chodziło o rodzinę Lairdów. A ponieważ Jean i Peter byli już ostatnimi żyjącymi jej członkami, zainteresowanie pani Sharp mogło się odnosić tylko do nich. Jaka szkoda, że Peter nie napisał do mnie po śmierci babki! Wysłała wprawdzie do niego list przez adwokatów, ale na próżno czekała na odpowiedź. Przypomniało jej to pierwszy okres pobytu w Nowej Zelandii, kiedy czuła się nieszczęśliwa i opuszczona.

- Wolałabym, żebyś przestała się już zamartwiać - powiedziała matka z troską w głosie. Nie podoba ci się tutaj? Byłam przekonana, że będziesz się dobrze czuła w college'u.

- Wcale mi nie jest smutno - odpowiedziała Jean.

- Dziś rano przyszedł list od babci - ciągnęła dalej matka.
- Pozdrawia cię i pisze, że to będą pierwsze święta Bożego Narodzenia, które spędzi bez rodziny.

Jean natychmiast podbiegła do matki.

- A Peter do niej nie przyjedzie? Co babcia o nim pisze? Mogę przeczytać list?

Nora Laird przyjrzała się córce uważnym wzrokiem.

- Peter najwyraźniej jest bez reszty pochłonięty pracą w Londynie. Nawet w Wigilię będzie zajęty w swoim biurze. Prawdopodobnie znalazł sobie krąg własnych przyjaciół i już tak bardzo nie ciągnie go do Saltcreek.

Jean niemal fizycznie odczuła, jak ciężko zrobiło jej się na sercu.

- Może masz rację. Ale przecież on wie, jak bardzo samotna jest teraz babcia. Mógłby z nią spędzać przynajmniej święta.

- Chyba zbyt wiele spodziewasz się po tej gałęzi naszej rodziny - nieco kąśliwie odparła matka. - Ojciec Petera miał piekielny urok i takiż charakter. Aż trudno uwierzyć, do jakiego stopnia bracia mogą się różnić.

- Ja lubiałam wujka Harveya - upierała się przy swoim Jean. - Może nie był znakomitym malarzem, ale zawsze potrafił mnie rozbawić.

Nora Laird potrząsnęła głową.

- Delikatnie to ujęłaś. Harvey Laird uważał za rzecz zupełnie normalną, że twoja babka go utrzymywała. I trzeba powiedzieć, że źle na tym nie wyszedł. Babka zawsze go faworyzowała. Prawdopodobnie dlatego, że był takim szubrawcem.

Jean popatrzyła na matkę przerażonym wzrokiem.

- Wujek Harvey wcale nie był szubrawcem! Zawsze był taki miły i miał doskonały humor. A kuracjusze kupowali jego obrazy.

- To trochę dziwne, ale tak rzeczywiście było. Może dlatego, że nie żądał za nie zbyt wiele. Był zadowolony, jeśli udało mu się zarobić na kielicha. Nie wiem, co by się z nim działo, gdyby jeszcze żył. Do śmierci miał nieustanne przeprawy z policją.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie musisz tak na mnie patrzeć. Ojciec nie lubi, kiedy o tym mówię, ale po wojnie wuj Harvey uwikłał się w różne ciemne interesy. Gromadził suweniry, jak sam je nazywał, ale było wśród nich sporo drogocennych rzeczy. A najgorsze w tym było to, że wszystkie pochodziły z domów, do których nikt Harveya nie zapraszał.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że wuj Harvey był... złodziejem?

- Harvey uwielbiał piękne rzeczy - wymijająco odparła Nora Laird. - Poza tym nie była to wyłącznie jego wina. W czasie wojny wykoleiło się wielu mężczyzn. Niejeden przywoził do domu drogą lornetkę czy aparat fotograficzny, których z pewnością nie kupił. Harvey nie miał żadnych wyrzutów sumienia, kiedy w swoim bagażu przemycał do Anglii kosztowności ze zbombardowanych zamków czy muzeów.

- Czy babcia bardzo się tym denerwowała? - spytała Jean. Dla Petera musiał to być okropny cios, kiedy zorientował się, że jego ojciec zupełnie niesłusznie, dodała w myślach Jean, jest posądzany o nieuczciwość.

- Postarzała się o kilka lat w ciągu jednej nocy. Myślę, że każdy mieszkaniec Saltcreek wiedział o wyczynach Harveya Lairda, choć nikt o tym głośno nie mówił. Udało mu się

posprzedawać większość rzeczy, zanim dopadła go francuska policja. Prawdopodobnie mógłby żyć z tych pieniędzy przez wiele lat. Ale i tak miał szczęście, bo niczego nie można mu było udowodnić. Inaczej wylądowałby za kratkami.

- Ale Peter jest inny! - wybuchnęła Jean spoglądając na matkę błagalnie, jakby szukała wsparcia.

Jednak Nora nie śpieszyła się z odpowiedzią.

- Peter stracił matkę, kiedy był jeszcze mały. A Harvey troszczył się o syna tylko wtedy, gdy miał na to ochotę. Potem wysyłał go do szkół z internatem. W duszy dziecka, którym tak się pomiata, zawsze zostają jakieś ślady.

Nagle Jean zupełnie straciła ochotę na słuchanie o wuju Harveyu i jego swawolnym, beztroskim trybie życia.

To by wyjaśniało, dlaczego Peter zawsze był taki cyniczny i lekkomyślny. Tak jakby, szukała wówczas w myślach odpowiedniego określenia, nosił maskę, która skrywała przed światem zewnętrznym jego prawdziwe uczucia.

A babcia Laird? Czy to z powodu lekkomyślności wuja Harveya miała taki surowy i nieugięty charakter, że Jean niekiedy odczuwała przed nią lęk? Czy właśnie dlatego babcia nie miała we wsi żadnych bliskich przyjaciół i nigdy nie wpadali do niej sąsiedzi na filiżankę kawy i pogaduszki? Czy świadomość nieuczciwości najstarszego syna doprowadziła do tego, że czuła się obco w Saltcreek? Może spotykała się z pogardą albo współczuciem, które musiały ranić jej dumę?

Ta rozmowa z matką była dla Jean otrzeźwiającym doświadczeniem, przekonała się bowiem, że nie ma zielonego pojęcia o świecie ludzi dorosłych. Przez cały czas, jaki spędziła w Saltcreek, nawet nie przeczuwała, że pod tą gładką, miłą powierzchnią kryła się rodzinna tragedia...

Możliwe, że właśnie dlatego Peter nie odpowiadał na jej listy. Chce się uwolnić od cienia, jaki ojciec rzucił na rodzinę, myślała wówczas Jean w przystępie miłości i współczucia.

Musiał rozpocząć zupełnie nowe życie wśród ludzi, którzy nic nie wiedzieli o jego przeszłości.

Od tego dnia Jean zaczęła się godzić z tym, że Peter powoli będzie znikał z jej wspomnień. Zajęła się własnym wykształceniem, znalazła nowych przyjaciół i nie stroniła od rozrywek.

Nagle Jean zorientowała się, że pociąg zwiększył szybkość. Czuła dreszcze, choć w przedziale było zupełnie ciepło.

Bardzo chciała znaleźć się już na miejscu. Na szczęście przezornie pomyślała o tym, żeby z Auckland wysłać telegram do Josha Tamlina i zarezerwować pokój w „Galeonie”.

Właściwie teraz mogłaby coś zjeść w wagonie restauracyjnym. Ostrożnie przeszła nad wyciągniętymi nogami współpasażerów i ruszyła korytarzem.

Przed nią do wagonu restauracyjnego weszło młode małżeństwo z rozdokazywanym dzieckiem. W tej samej chwili pociąg wjechał w ostry zakręt i Jean zatoczyła się.

W kącie wagonu, z głowami pochylonymi nad stolikiem, pogrążone w poufalej rozmowie, siedziały dwie znane jej osoby...

Jean nie potrafiłaby odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób tak szybko udało jej się wrócić do swojego przedziału. Czuła, że jej serce bije jak szalone, i była owładnięta tylko jednym uczuciem: uciec stąd jak najszybciej.

Jedną z tych dwojga osób był przysadzisty, atletycznie zbudowany George Russel, który tak uparcie próbował zawrzeć z nią znajomość, natomiast drugą Nicola Sharp.

Jean odetchnęła głęboko, po czym zerknęła w kierunku wagonu restauracyjnego. Ani śladu podejrzaney parki. Pewnie wcale mnie nie zauważyli, pomyślała, czując jednocześnie gęsią skórę na ramionach.

Nie mogła uwolnić się od niemiłego uczucia, że jest śledzona, że ktoś ją obserwuje od chwili, gdy wysiadła z samolotu w Londynie.

Ale to przecież było śmieszne! Chyba zaczynała histeryzować. Próbowwała się więc uspokoić. Dlaczego George Russel i Nicola Sharp nie mieliby się znać? A jednak... To bardzo podejrzane, że akurat tych dwoje, którzy od samego początku deptali jej po piętach, jechało tym samym pociągiem.

W zachowaniu George'a Russela była jakaś sztuczność i skrepowanie. Jean wyczuwała, że to nie jest mężczyzna, który zwykł zaczepiać kobiety na ulicy. Mimo to chciał się upewnić, czy naprawdę nazywała się Jean Laird. Najprawdopodobniej założył, że z lotniska pojedzie autobusem do centrum. Może przez chwilę bał się, że straci ją z oczu. Ale na dworcu czekała już pomoc w osobie Nicoli Sharp, która nawiązała rozmowę z Jean pod pretekstem dawnej znajomości z jej babką.

Ale po co to wszystko, zastanawiała się przerażona Jean, wciąż jeszcze czując, jak serce podchodzi jej do gardła. Kogóż to mogło obchodzić, że wróciła do Anglii!

Jean nie potrafiła opanować rosnącego lęku.

A więc jednak nie napije się upragnionej herbaty. Nie miała ochoty wpaść prosto w objęcia Nicoli Sharp i George'a Russela. Przynajmniej zanim się nie zorientuje, o co tu chodzi.

Kiedy pociąg w końcu zatrzymał się w Norchester, Jean wysiadła jako jedna z ostatnich. Chciała uzyskać jak największy dystans do Nicoli Sharp i George'a Russela.

Ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu dowiedziała się w informacji, że stacja w Saltcreek już od kilku lat jest zamknięta.

- I jak ja teraz tam się dostanę? - spytała bezradnie.

- Proszę pojechać pociągiem do stacji końcowej. Stamtąd co godzina odchodzą autobusy.

Wszystko się zmieniło, powiedziała do siebie Jean, zмирzając w stronę pociągu, który stał gotowy do odjazdu na ostatnim peronie.

Właśnie miała przyśpieszyć kroku, gdy z okna przedziału wychyliła się postać w czarnym ubraniu i pomachała do niej ręką.

- Jean, moja droga! - rozległ się głos Nicoli Sharp w hali dworcowej. Musisz się pośpieszyć, pociąg za chwilę odjeżdża!

Konduktor zwrócił się do Jean:

- Chce pani pojechać tamtym pociągiem? To musi pani podbiec, bo nie będziemy czekali.

Sekunda wahania, potem potrząsnęła głową. Z wyraźnie akcentowaną obojętnością zachowała się tak, jakby nie zauważyła gwałtownych znaków pani Sharp. Z uczuciem pewnej satysfakcji przyglądała się, jak pociąg z sykiem i parskaniem rusza z miejsca.

Ostatecznie mogą sobie na mnie poczekać w Saltcreek, pomyślała Jean. Dlaczego miałabym ułatwiać im zadanie?

Może właśnie w tej chwili zaczęli się martwić, co będzie, jeśli Jean w ogóle nie pojedzie do Saltcreek.

W informacji Jean dowiedziała się, że następny pociąg do stacji końcowej odjeżdża dopiero za trzy godziny. Jeśli jednak nie miałyby nic przeciwko dwukrotnej przesiadce, mogła skorzystać z wcześniejszego połączenia.

- Właściwie to dobrze mi tak - pomyślała Jean w przyływie wisielczego humoru, wpatrując się w okno niemiłosiernie wlokącej się ciuchci.

Słońce stało już nisko na horyzoncie, z wilgotnych łąk wznosiły się mleczne opary mgły. Ciepłe, złociste barwy, na które wprost nie mogła się napatrzeć, ustąpiły najrozmaitszym odcieniom szarości.

W pociągu panował ziąb, a stacyjki, na których się zatrzymywali, były jakoś beznadziejnie smutne i wyludnione.

Dotarłszy wreszcie do stacji końcowej, przemarznięta Jean była u kresu sił.

Z przerażeniem stwierdziła, że była jedynym pasażerem.

- Gdzie jest przystanek autobusu do Saltcreek? zapytała człowieka w kasie.

- Przed samą stacją, proszę pani. Ale autobus odjechał dopiero dziesięć minut temu. Będzie więc pani musiała poczekać jeszcze prawie godzinę.

- Czy jest tu postój taksówek?

Mężczyzna potrząsnął przecząco głową. Tutaj wysiada tak mało pasażerów, że to się nie opłaca. Popatrzył na nią ze współczuciem. - Ale poczekalnia jest ogrzewana.

- Dziękuję - powiedziała Jean, po czym mężczyzna zniknął w swoim przytulnym pomieszczeniu na zapleczu.

Zrobiła głupstwo, zamiast zdawać się na niepewne połączenia kolejowe, powinna była po prostu wynająć samochód.

Za jej plecami rozległy się kroki. Zbliżał się do niej mężczyzna w średnim wieku, ubrany w kurtkę z jagnięcej skóry z kraciastym kapturem.

- Przepraszam, czy przyjechał już pociąg o osiemnastej dziesięć?

- Tak, ale już odjechał.

- W takim razie moja córka jednak nie przyjechała. Widocznie skorzysta z bezpośredniego połączenia z Norchester. - Już zamierzał odejść, potem jednak jeszcze raz zwrócił się do Jean. - Może mógłbym panią gdzieś podrzucić? Jadę do Saltcreek.

Jean w jednej chwili odzyskała całą swoją energię.

- Właśnie tam się wybieram. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zechciał mnie pan zabrać.

- Z przyjemnością - odparł mężczyzna i schylił się po jej walizkę. - Tu, na wsi jesteśmy przyzwyczajeni do podwożenia

ludzi. Ostatnio likwiduje się coraz więcej połączeń kolejowych. A tak przy okazji: nazywam się Donald Carfax.

- Jean Laird.

- Naprawdę? - Carfax popatrzył na nią zaskoczonym wzrokiem. - Cóż za zbieg okoliczności. Znałem kiedyś człowieka o takim nazwisku. Podczas wojny służyliśmy w jednym pułku... Ale teraz musimy się pośpieszyć. Znosi się na mgłę, a wówczas te wiejskie drogi mogą być bardzo zdradliwe.

Jean przypomniała sobie, że ta stacyjka leży daleko od najbliższej miejscowości. Tutaj były tylko łąki i zasnute mgłami lasy. Jedynie blada poświata na wschodzie pozwalała się domyślać bliskości morza. Jean miała wrażenie, że czuje na wargach słony smak. Nagle odżyły dawne wspomnienia.

- Wybrała się pani na urlop jesienią? - zapytał Donald Carfax.

Wąska, kręta wstążka szosy wiodła pomiędzy gęstymi zaroślami, w których wisiały opary mgły, dalej zaczynał się cichy, pusty świat bagien.

- Nie, nie. Ale jako dziecko często spędzałam wakacje w Saltcreek - odparła Jean, przyłapując się na tym, że unika odpowiedzi na pytania mężczyzny. Nie potrafiłaby dokładnie wyjaśnić, dlaczego to robi, ale jego słowa: „Znałem kiedyś człowieka o takim nazwisku”, obudziły w niej jakiś ostrzegający głos.

Czy to był czysty przypadek, że ten siwowłosy mężczyzna o aparycji wojskowego pojawił się na końcowej stacji dokładnie w tym czasie, gdy ona czekała tam na autobus? Z pewnością miał córkę. Tego by nie zmyślił. Ale Jean powoli zaczynało świtać w głowie, że różni ludzie najwyraźniej byli zainteresowani jej pobytem w Anglii.

- W takim razie musiało upłynąć trochę czasu od pani ostatnich odwiedzin w Saltcreek - zauważył Carfax. - Cóż,

wiele tam się nie zmieniło. Od kiedy zlikwidowano linię kolejową, wieś jest dosłownie odcięta od świata. Latem pojawi się od czasu do czasu paru turystów, ale na ogół panuje tam niezwykle spokój.

- Właśnie to mi się podoba w Saltcreek.

- Zgadza się z panią. Ja też bym nie chciał, żeby to się zmieniło. Pół roku temu przeszedłem na emeryturę i osiadłem w jednej ze starych chat przy latarni morskiej.

- Dlaczego przeprowadził się pan właśnie do Saltcreek?

- Jako chłopiec kilka razy odwiedzałem Saltcreek. To bardzo dawne czasy, pani nie było jeszcze wtedy na świecie. Dzięki temu poznałem Harveya Lairda i zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Harveya Lairda? - powtórzyła Jean czując, jak na chwilę zamiera jej serce.

To niemożliwe, żeby w Saltcreek był jakiś inny Harvey Laird, a ten mężczyzna musiał być mniej więcej w wieku jej wuja, gdyby ten jeszcze żył.

- Tak się składa, że nosi pani to samo nazwisko - zauważył Carfax.

Jean odpowiedziała z wahaniem:

- Tak nazywał się mój wujek.

- Coś podobnego! Ale Harvey Laird, o którym mówiłem, już od dawna nie żyje.

- Tak. Zginął w wypadku samochodowym.

- Cóż za niezwykle zbieg okoliczności! - Carfax wyglądał na szczerze zdumionego. - Harvey i ja byliśmy żołnierzami, a kiedy wojna się skończyła, zostaliśmy jeszcze przez pewien czas w Niemczech. Panował tam wówczas potworny chaos, ale Harvey uwielbiał niebezpieczne sytuacje.

- W takim razie musi pan znać również moją babkę.

- Sarę Laird? Tę wysoką, poważną starszą panią? Jako chłopiec strasznie się jej bałem. Miała takie spojrzenie, jakby

potrafiła przejrzeć człowieka na wylot. Jeśli komuś zdarzyło się skłamać, mówiła mu o tym prosto z mostu.

Saltcreek to mała miejscina, tam wszyscy się znali. Jean nie miała zatem powodu do podejrzeń. A jednak... Czyż nie był to nieprawdopodobny przypadek, że przyjaciel z młodości wuja Harveya przeszedł na emeryturę i osiadł akurat tam, choć wyglądał na człowieka wystarczająco młodego i silnego, by jeszcze pracować?

Ale może wcale nie potrzebował zarabiać na życie? Jeździł przecież nowiutkim kombi, a jego kurtka z jagnięcej skóry wyglądała na bardzo drogą.

Może po prostu ponosiła ją fantazja, ponieważ była przemarznięta i zmęczona trudami długiej podróży?

- Za chwilę będziemy na miejscu - oświadczył Carfax zerkając na nią kątem oka. - Gdzie chciałaby pani wysiąść?

- Przy „Galeonie”, o ile nie będzie pan musiał nadkładać drogi.

- Ależ skąd! - Carfax zdawał się być zaskoczony. - Zawsze myślałem, że... Zresztą, to nieistotne.

Jean już miała na końcu języka pytanie, co chciał przez to powiedzieć. Ale naraz poczuła, że natychmiast musi się pozbyć tego człowieka, który tak dobrze znał ojca Petera. Teraz potrzebowała samotności. W tym niespokojnym, rozgorączkowanym świecie często odczuwała pragnienie, by zanurzyć się we wspomnieniach szczęśliwego, bezpiecznego dzieciństwa.

Zorientowała się, że za chwilę rzeczywiście powinni być na miejscu. Jej serce dziwnie zatrzepotało na widok okrągłej wieży kościoła i domów z szarego łupka, przylepionych do skał niby ptasie gniazda.

Czyżby jej się nagle wydało, że Saltcreek jest takie małe, czy też naprawdę wcześniej było większe? Może jej horyzont tak bardzo się rozszerzył, że to skupisko domków skurczyło

się w jej oczach do rozmiarów maleńkiej wioski na brzegu morza, nad którą bezlitośnie hulały jesienne burze.

Carfax zatrzymał samochód przy krawężniku. Wysiadł, otworzył bagażnik i wyjął jej walizkę.

- Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić? - spytał w końcu. Przypuszczam, że ktoś pani oczekuje?

- Tak. Bardzo dziękuję. To uprzejme z pana strony, że mnie pan podwiózł.

- Cóż, w takim razie pojedę teraz do siebie. Z pewnością wkrótce znów się zobaczymy, panno Laird - powiedział Carfax, po czym wsiadł do samochodu i odjechał.

Jean została zupełnie sama. Nad powierzchnią morza zalegała gęsta mgła, jedynie tam, gdzie fale uderzały o brzeg, można było jeszcze dostrzec wodę.

Zdażyła już całkowicie zapomnieć, że pod koniec roku wieś zawsze sprawiała wrażenie wymarłej. A może po prostu w pamięci utkwiły jej wyłącznie szczęśliwe chwile?

Dni, kiedy biegała z Peterem brzegiem morza, lśniącego w promieniach jasnego słońca?

Jean odsunęła od siebie melancholijne myśli. Podniosła walizkę i zbliżyła się do zajazdu.

Spostrzegła, że nad drzwiami wciąż jeszcze wisi stary szyld z wymalowanym galeonem. Statek miał rozwinięte wszystkie żagle i wiatr dął w białe płótno. Przekręciła gałkę u drzwi i weszła do holu. Błyszczące czerwone flizy odbijały dyskretne światło, na półce zaś połyskiwały wypolerowane miedziane kociołki.

Jak na zajazd panował tu niezwykły spokój. Może wyszynk zaczynał się trochę później. Gdzieś jednak powinien być dzwonek. A może trzeba po prostu otworzyć te drzwi, które z pewnością prowadziły do restauracji?

Jean zawahała się.

Od schodów na końcu hallu dobiegł ją odgłos kroków. Najpierw pojawiła się para idealnie wyglansowanych butów, potem nienagannie odprasowane spodnie i kraciasta koszula. Dopiero wtedy w jej polu widzenia ukazał się właściciel tego ubioru.

Jean oceniła go na mniej więcej trzydziestkę. Zadbany mężczyzna o mocno opalonej, sympatycznej twarzy i szerokich barach. Spojrzał na nią uważnie parą ciemnobłękitnych oczu. Poczowała się odrobinę nieswojo.

- Dzień dobry! - powiedziała krótko. - Czy mogę mówić z panem Tamlinem?

- Chyba trochę się pani spóźniła. - Mężczyzna zszedł z ostatniego stopnia i stanął przed nią. - Przed rokiem, dokładnie w Boże Narodzenie Josh Tamlin wycofał się z interesu. W końcu dobiegał siedemdziesiątki, jak pani zapewne wiadomo, i miał już pewne kłopoty z chodzeniem.

- Ach, tak - powiedziała Jean. Była rozczarowana, że już nie spotka tego miłego, tak dobrze jej znanego Josha Tamlina. W takim razie może pan zechce mi pomóc. Potrzebny mi pokój.

- Coś takiego! - Mężczyzna przyglądał się jej z błyskiem rozbawienia w oku.

Jean poczuła, że ze zdenerwowania dostaje wypieków na twarzy.

- Myślę, że pan nie będzie miał nic przeciw temu! Poproszę o jednoosobowy pokój z widokiem na morze!

- Niestety, mogę pani zaproponować jedynie miejsce w moim własnym pokoju. Mam tam gigantyczne małżeńskie łóżko.

- Pan wybaczy - odparła Jean chłodnym tonem - czy mogłabym rozmawiać z właścicielem? Może będzie pan łaskaw go zawołać.

- Właśnie pani z nim rozmawia. Dominic Regan, zawsze do usług. - Mężczyzna uklonił się z przesadną galanterią.

Jean z trudem powściągnęła gniew. W końcu powiedziała w miarę spokojnym głosem:

- Nazywam się Jean Laird. Wysłałam telegram z prośbą o rezerwację pokoju.

- A więc to była pani? - Dominic Regan zaczął się śmiać, co jeszcze bardziej ją rozzłościło. - Nie podała pani adresu nadawcy, dlatego nie mogłem niestety odpowiedzieć. Przykro mi, panno Laird, ale nie mogę pani przyjąć.

- Czy to znaczy, że wszystkie pokoje są zajęte? Dominic potrząsnął głową.

- Bynajmniej. Jestem tu sam jak palec. Stąd wzięła się moja wielkoduszna propozycja dzielenia z panią stołu i łóża... ale dajmy temu spokój! Chciałem w ten sposób powiedzieć, że „Galeon” już nie jest zajazdem.

- W takim razie... - policzki paliły ją ogniem - po prostu wtargnęłam do prywatnego domu?

- Tak źle to znów nie wygląda - beztrósco oświadczył Dominic Regan. - Kiedy Josh zrezygnował z tego interesu, otwarto tu sklep z antykami. Ja jednak nie jestem właścicielem. Proszono mnie, żebym przez pewien czas popilnował domu. Przez kilka tygodni zastępuję właściciela. Dawny sztyl zajazdu pozostał na swoim miejscu. Dla zachowania kolorytu lokalnego, tak można by to ująć.

- Ale... czy istnieje jeszcze jakaś możliwość znalezienia wolnego pokoju w Saltcreek? - spytała bezradnie.

- Tylko „Pod Złotym Kogutem”, ale to nie jest odpowiednie miejsce dla młodej damy - poważnie odparł Dominic.

Jean miała wrażenie, że ziemia powoli usuwa jej się spod stóp. Nic nie odbyło się tak, jak to sobie wyobrażała.

W duchu już widziała, jak stary Josh wita ją z rozpromienioną twarzą i prowadzi prosto do przytulnego pokoju na poddaszu. Do snu miał ją ukołysać nieustanny szum morza. Przedtem zamierzała jeszcze zjeść wyśmienity obiad, ryby prosto z kutra, i z góry cieszyła się na ploteczki z Mary, żoną Josha.

A teraz stała tu u progu nocy, bez dachu nad głową, przed tym aroganckim, rozbawionym człowiekiem, który jedynie z trudem się powstrzymywał, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Miała wrażenie, że ogromny hol przechyla się pod zwariowanym kątem. Za chwilę miedziane kociołki zsuną się z półki i z hukiem pospadają na flizowaną posadzkę.

- Co się z panią dzieje? Proszę się o mnie oprzeć - rozległ się głos, który brzmiał jednocześnie ostro i trwożliwie. Na barkach poczuła mocne ramię.

- Już... już mi trochę lepiej.

- Oczywiście. Ale najpierw proszę usiąść. Dominic Regan otworzył jakieś drzwi i Jean ujrzała ogień trzaskający na kominku, a przed nim duży, głęboki fotel. Dominic wziął ją na rękę, jakby była małym dzieckiem, i ostrożnie posadził w fotelu.

- Przepraszam, to tylko... - Jean ledwie powstrzymywała łzy, które nagle zaczęły cisnąć się jej do oczu. - Jestem po prostu zmęczona. To wszystko.

Dominic pochylił się, żeby popatrzeć jej w oczy.

- Kiedy jadła pani po raz ostatni?

- Wczoraj... tak mi się zdaje. A może dziś rano? Widzi pan, to przez tę zmianę czasu. Właśnie przyleciałam z Nowej Zelandii. - Jean oparła czoło na rękę, żeby łatwiej móc się zastanowić.

- Proszę się nie ruszać z miejsca - nakazał jej Dominic, po czym przemierzył pokój i zniknął w pomieszczeniu, które wyglądało na kuchnię.

Jean była zbyt zmęczona, a poza tym zbyt przygnębiona i zmieszana, żeby cokolwiek odpowiedzieć.

Sledzono ją od chwili, gdy wysiadła z samolotu w Londynie. Najpierw ten Amerykanin, George Russel, potem Nicola Sharp. Poznała też mężczyznę, który twierdził, że w młodości przyjaźnił się z Harveyem Lairdem. A Saltcreek zasnuła gęsta mgła. „Galeon”, w którym zamierzała się schronić i ogrzać, został zamieniony na sklep z antykami. Dominic pojawił się z tacą, którą postawił na małym stoliku przed Jean.

- Proszę już zacząć jeść - rzekł rozkazującym tonem. Zaraz będzie herbata.

Wrócił do kuchni. Jean spojrzała na ogromny półmisek z zimną pieczenią, gotowaną szynką i sałatą.

Mój Boże! Czyżby jemu się zdawało, że była aż tak żarłoczna?

Ale w kilka minut później, kiedy Dominic stawiał na stoliku dwie duże filiżanki herbaty, łąpczywie kończyła opróżniać półmisek.

- To mi się podoba - pochwalił ją. - Kobieta, która nie boi się o linię i potrafi się porządnie najeść. - Jeśli chodzi o moją linię... - zaczęła Jean, lecz potem spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. - Ma pan rację.

Byłam strasznie głodna. Teraz czuję się już znacznie lepiej. Dominic usiadł naprzeciw niej. Pochylił się do przodu, żeby dorzucić drewna do ognia.

- Co panią przygnało z drugiego końca świata akurat do Saltcreek? - spytał.

- Moja babka mieszkała w „Sea Cottage”.

- To ten stary, biały dom wysoko na skałach? Ależ on teraz stoi chyba pusty, prawda?

Teraz z kolei zdziwiła się Jean.

- Więc mój kuzyn Peter jeszcze się tam nie wprowadził?

- To już raczej pani powinna wiedzieć.

- Peter i ja straciliśmy kontakt - przyznała Jean. - Babka zapisała mu ten dom w testamencie.

- Widocznie był jej ulubionym wnuczkiem.

Ta myśl jeszcze nigdy nie przyszła Jean do głowy. Była raczej przekonana, że Peter odziedziczył dom, ponieważ mieszkał w Anglii. Ale, oczywiście, babcia bardzo lubiła Petera, i nie było w tym nic niezwykłego, że widziała w nim dziedzica „Sea Cottage”, starej siedziby rodu Lairdów.

- Peter i ja byliśmy jej ostatnimi krewnymi. Z pewnością nie liczyła na to, że kiedyś tu powrócę.

- Ale mogła przynajmniej zapisać pani jakiś drobiazg - wtrącił Dominic.

Już miała odpowiedzieć: „Ależ tak właśnie zrobiła. Zapisała mi stary kuferek marynarski, w którym Bóg jeden wie, co się znajduje...”

Nagle jednak atmosfera w tym pokoju jakby się zmieniła. Mężczyzna siedział naprzeciw niej przy kominku nieporuszenie, z jednym policzkiem czerwonym od blasku ognia, drugi zaś, ukryty w cieniu, wyglądał mrocznie i groźnie.

Prawdopodobnie początkowo Jean była zbyt wyczerpana, żeby zauważać pewne szczegóły, teraz jednak Dominic Regan wydał jej się człowiekiem dość dziwnym. Zupełnie nie wyglądał na kogoś, kto doskonale czuje się w sklepie z antykami. Ten człowiek z pewnością nigdy nie zajmował się żmudnym sklejeniem porcelanowych waz czy oglądaniem pod światło starych kieliszków w poszukiwaniu skazy.

Dominic Regan był człowiekiem czynu. Sprawiał wrażenie energicznego i zdawał się przyglądać Jean z uderzającą wprost czujnością.

Zauważył jej badawcze spojrzenie, rysy jego twarzy nieco się rozluźniły. Czyżby z rozmysłem ukrywał przed nią swój prawdziwy charakter? Dominic odłożył pogrzebacz na swoje miejsce.

- Co pani zamierza teraz zrobić? - W jego głosie przebijała uprzejmość gospodarza, dla którego gość powoli stawał się uciążliwy.

Jean odpowiedziała mechanicznie:

- Muszę się jakoś dostać na stację i złapać pociąg do Norchester.

- Ostatni autobus odjechał już dobre pół godziny temu. A przy takiej mgle nikt nie zechce pani odwieźć samochodem. Obawiam się, że do jutrzejszego poranka będzie pani uwięziona w Saltcreek.

- Ale gdzie mam się podziać, bo chyba jednak nie u pana?

- Nawet jeśli panią zapewnię, że mam poważne zamiary?

- Dominic roześmiał się, co bardzo rozzłościło Jean. - Proszę nie patrzeć na mnie takim złym okiem. Załatwiłem pani pokój, w którym z pewnością będzie się pani doskonale czuła.

- Czy to daleko stąd? - spytała widząc, że Dominic wziął z wieszaka płaszcz przeciwdeszczowy i włożył go na siebie. Choć niczego bardziej nie pragnęła, jak wreszcie uwolnić się od tego człowieka, to jednak wzdrygała się na myśl, że musi opuścić ten przytulny pokój.

- Tylko kilkaset metrów - odparł krótko, kiedy Jean poszła za nim do holu.

Próbowała sobie przypomnieć, jakie domy znajdowały się w pobliżu „Galeonu”. Było tu kilka ślicznych, białych domków. A na skałach „Sea Codage”, jakby przytulony do kamiennej ściany dla ochrony przed sztormami. Przypomniała

sobie wieczory, gdy ze swojego okna spoglądała w ciemność. Daleko na horyzoncie błyskała boja świetlna, a niekiedy światła przepływającego okrętu. Czuła intensywny zapach morza, z dołu zaś dobiegał szum fal, niezmordowanie uderzających o brzeg. Dominic uprzejmie zaczekał, aż Jean wyjdzie z domu, żeby zamknąć drzwi. Mgła jeszcze bardziej zgęstniała, wilgotny chłód przeniknął ją do szpiku kości.

- Zastanawiałam się właśnie, kto mieszka tu w sąsiedztwie - powiedziała, gdy Dominic ruszył drogą ku plaży. Musiała niemal biec, żeby dotrzymać mu kroku.

- Jutro się pani zorientuje, że niejedno się tu zmieniło - wyjaśnił. - Wiele domów wykupili przyjezdni, którzy mieszkają tutaj tylko latem. Zimą Saltcreek jest praktycznie martwą wsią. Ale pani chyba nie zamierza tu osiąść na stałe, prawda?

Nie spodobało jej się, że mówił o jej planach, jakby miał prawo decydować o jej przyszłości.

- Czemu nie? Może osiądę w Saltcreek. Zawsze czułam się tutaj doskonale - odparła zadziornie.

- Przeszłość ma dla pani wielkie znaczenie, prawda?

Pytanie to, rzucone tak niedbale, wprowadziło ją w zakłopotanie. Zerknęła na jego twarz, zwróconą teraz do niej profilem.

Dominic podniósł kołnierz płaszcza, tak więc nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy. Ale potraktowała jego słowa jak wyzwanie.

- Obawiam się, że pana nie rozumiem.

Dominic zatrzymał się przed białą furtką, która prowadziła do niewielkiego ogródka. Na poły ukryty w krzewach stał tam niski, kamienny dom. Światło latarni ulicznej z trudem przebijało się przez kłęby gęstej mgły.

- W swoich myślach odbywa pani podróż w przeszłość - odparł. - W tej chwili ożywają najpiękniejsze wspomnienia,

jakie zachowała pani z dzieciństwa. Chciałaby pani, żeby znów wszystko było takie, jak dawniej. Teraźniejszości i przyszłości zatrzasnęła pani przed nosem drzwi i zwróciła się całkowicie ku przeszłości.

Policzki Jean zaróżowiły się z gniewu. Jak ten człowiek śmiał wtrącać się w jej najbardziej osobiste sprawy? Zachowywał się tak, jakby jej życie miało dla niego jakieś znaczenie.

Już zamierzała dać mu jakąś szorstką odpowiedź, gdy jego ładnie wykrojone wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Jego wyrazista, opalona twarz nabrała teraz o wiele łagodniejszego wyrazu.

Jeszcze bardziej zaskoczyły ją jego słowa:

- Czyżby teraźniejszość była dla pani taka straszna, że musiała pani wrócić do Saltcreek? Czy nie istniało w pani przyszłości nic, na co mogłaby pani oczekiwać z radością i nadzieją?

Nie spodziewała się, że jej duszę może ogarnąć taki zamęt. Nagle poczuła się tak samotna i opuszczona, jak jeszcze nigdy w życiu. Utraciła wszystkich, których kochała - rodziców, babcię Laird, nawet Malcolma z jego pokornym oddaniem...

Dominic otworzył furtkę i ruszył ścieżką w stronę domu. Kiedy Jean poszła w jego ślady, ktoś od wewnątrz otworzył drzwi, i ciemny ogród zalała szeroka smuga światła. W rozświetlonej framudze ukazała się sylwetka kobiety.

Ta postać wydała się Jean dziwnie znajoma. Dominic czekał na nią przy drzwiach, jego twarz ukryta była w cieniu.

- Witam, moja droga Jean! - zaszcebiotała od drzwi Nicola Sharp. - Jak widać, świat jest mały.

Rozdział 3

Jean obudziła się, czując na twarzy ciepłe promienie słońca. Przez okno zobaczyła kuter rybacki, który wypływał w morze. Łodzi towarzyszyły piskliwe krzyki mew.

W pierwszej chwili Jean nie mogła się zorientować, gdzie się znajduje. Potem nagle przypomniała sobie wczorajszy dzień i wszystko, co się zdarzyło...

Sama była zdziwiona, że w ogóle potrafiła tak spokojnie spać.

Mimo puchowej kołdry i termoforu początkowo czuła dreszcze, i w napięciu nasłuchiwała wszystkich odgłosów w domu. Nicola poszła najpierw do swojej sypialni, potem do łazienki, nucąc przy tym jakąś melodię. W końcu musiała wyłączyć światło, bo przytknął przełącznik. Jakieś drzwi zamknęły się z trzaskiem. Gdzieś daleko za wsią niby jakaś skarga rozbrzmiewał róg mgłowy.

Jean spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do dziewiątej. Do pokoju przenikał wspaniały zapach smażonego boczku.

Nie potrzebowała dużo czasu, by się umyć i ubrać w dżinsy i ciemnoniebieską bawełnianą bluzę, której kolor wspaniale kontrastował z jej lśniącymi jasnymi włosami. Schodząc po schodach usłyszała wołanie Nicoli:

- Dzień dobry! Nie budziłam cię, bo pomyślałam sobie, że najpierw powinnaś się porządnie wyspać po tej podróży. Czy łóżko było wygodne?

- Ależ tak, dziękuję. - Jean przystanęła w drzwiach do kuchni. - Czy mogę pani w czymś pomóc?

Nicola, ubrana w elegancką podomkę, przygotowywała śniadanie. Włosy owinęła sobie chustką.

- Wykluczone. Jesteś moim gościem - odparła z uśmiechem. - Śniadanie zaraz będzie gotowe. Możesz pójść do pokoju i dotrzymać tymczasem towarzystwa Samowi. On uwielbia gości.

„Samowi?" dziwiła się Jean wchodząc do jasnego, słonecznego pokoju.

Duży, żółty kot podniósł się z dywanu przy kominku i mruczając ruszył jej na spotkanie.

- Dzień dobry, Sam! - powiedziała Jean głaszcząc kota. Sam zaczął mruczeć jeszcze głośniejsze i zamknął oczy.

- Od razu sobie pomyślałam, że lubisz koty - powiedziała Nicola stawiając tacę na stole przy oknie. - - Bo ja nie znoszę psów. Koty są o wiele wierniejsze. A przy tym nigdy nie tracą swojego charakteru. Zawsze pozostają indywidualistami. Na przykład Sam nie z każdym od razu się zaprzyjaźnia.

Sam zwinął się w kłębek przy kominku i spoglądał na obie kobiety zaspanymi oczami.

- Piękny kot - przytaknęła Jean, siadając naprzeciw Nicoli. - Dawno go już pani ma?

- Od maleńkiego kociaka. Sam jest bardzo wybredny. Nie z każdym chce się zaprzyjaźnić. Twoja babka nigdy nie trzymała u siebie zwierząt domowych. Zawsze mnie to dziwiło.

- Czy kiedyś pytała pani babcię, dlaczego? - spytała Jean, jedząc tosta z dżemem.

Odpowiedź Nicoli była wymijająca.

- Chyba nie. Sara Laird nie lubiła dyskutować o pewnych rzeczach.

Jean przyglądała się, jak Nicola dokładnie oddziela od plasterka szynki tłusty brzeżek. Nawet tak wcześnie rano Nicola wyglądała na zadbaną kobietę.

- Weź jeszcze trochę tego wybornego dżemu domowej roboty. Po śniadaniu na pewno będziesz się chciała wybrać do „Sea Cottage”?

- Nie wiem, czy to ma sens. Dominic Regan powiedział mi, że dom stoi pusty.

- Najczęściej tak. - Nicola zawahała się. - Peter był oczywiście na pogrzebie. Coraz bardziej przypomina swojego ojca. Ten sam typ bruneta, na którego lecą wszystkie kobiety. Pamiętasz jeszcze portret Harveya, który wisiał w „Galeonie”? Josh Tamlin i Harvey byli tak dobrymi przyjaciółmi, że Josh do końca nie zdjął obrazu ze ściany w restauracji. Kiedy spotkasz się z Peterem, sama się przekonasz, jak bardzo zrobił się podobny do twojego wuja.

Serce Jean zabiło żywszym rytmem. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o Peterze.

- Śmierć babci musiała być dla niego ciężkim ciosem.

- Nie wydaje mi się - odparła Nicola. - Peter nie odwiedzał babki przez ostatnich no, powiedzmy, pięć lat.

- Peter wcale jej nie odwiedzał? Ale... ale przynajmniej pisywał do niej regularnie?

Nicola delikatnie otarła usta serwetką.

- Co roku na Boże Narodzenie wysyłał kartkę z życzeniami, to wszystko.

- Czy dowiedziała się pani tego od babci?

W oczach Nicoli pojawił się błysk rozbawienia.

- W takiej wiosce nie ma żadnych tajemnic. Sara Laird nie musiała nic mówić. Panna Green z poczty doskonale wie, kto co otrzymuje, od oświadczeń podatkowych po widokówki.

Jean miała wrażenie, że powinna bronić Petera. Ani panna Green, ani Nicola Sharp nie wiedziały, dlaczego on tak postępował. Z mroku niepamięci wyłoniło się niemal już zapomniane zdarzenie.

- Nie powinnaś wiązać z Peterem żadnych nadziei, moje dziecko - powiedziała babka. - W jego sercu jest miejsce tylko dla niego samego.

Słowa starej kobiety, trzeźwe i rzeczowe, Jean odczuła wówczas jak uderzenie w twarz. Całą drogę pod górę przebyła

biegiem, jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i zawołała do babki:

- Nigdy byś się nie domyśliła, co powiedział mi Peter... Ach, babciu, nie mogę w to uwierzyć! - Jean tanecznym krokiem przebiegła przez kuchnię, minę miała rozradowaną. Nagle spoważniała. - Gdybyśmy tak jeszcze nie musieli wyjeżdżać do Nowej Zelandii! Akurat kiedy znalazłam mężczyznę swojego życia, muszę wyjechać na drugi koniec świata.

- Czy tym „mężczyzną twojego życia” jest Peter? Myślałam, że jesteś rozsądniejsza.

Jean jakby dostała obuchem w głowę. Babka jeszcze nigdy nie mówiła źle o Peterze. Był to dla niej szok: zrozumiała, że babka nie zawsze patrzyła na swojego wnuka z uwielbieniem.

- Ja... ja kocham Petera - wyjąkała Jean.

- Wszyscy go kochamy - spokojnie odpowiedziała babka. - Ale miłość nie powinna sprawiać, że stajemy się ślepi na błędy i słabości. Zanim zdecydujesz się na jakiegoś mężczyznę, musisz go najpierw bardzo dokładnie poznać! - Przez chwilę Sara Laird przyglądała się swojej wnuczce w zamyśleniu. Jeszcze niejedną raz się zakochasz, zanim trafisz na właściwego człowieka, Jean. Ale już teraz mogę ci powiedzieć jedno: tym człowiekiem nie będzie Peter.

- Jak możesz mówić coś takiego! Przecież on i ja razem dorastaliśmy. Znam go równie dobrze, jak siebie samą.

- Tak ci się tylko wydaje. Poczekaj, aż staniesz się dorosłą kobietą, Jean. Wtedy zdecydujesz. Nie powinnaś wiązać z Peterem żadnych nadziei. W jego sercu jest miejsce tylko dla niego samego.

Jean głośno zaprotestowała przeciw tej okropnej niesprawiedliwości.

- Mylisz się! Peter mnie kocha! A kiedy będziesz już dorosłym mężczyzną...

- Cóż, wtedy będzie kochał jak mężczyzna. Ale czy to będzie właśnie ten, którego potrzebujesz, Jean? Poczekajmy jeszcze kilka lat, zobaczymy, co wtedy powiesz.

Kilka lat...

Było to coś w rodzaju proroctwa, choć wtedy nikt nie mógł tego nawet przeczuwać. Jak wahadło zegara wróciła do tego miejsca, gdzie kiedyś musiała się rozstać z Peterem.

I gdyby teraz Peter powiedział: „Wtedy mówiłem prawdę. Kocham cię, Jean. Tylko ciebie...”, odpowiedziałyby: "Ja też cię kocham, Peter. Nigdy nie przestałam cię kochać."

Jean zastanawiała się, dlaczego akurat w tym momencie przyszły jej do głowy dawno już zapomniane słowa babki. Poczowała zniechęcenie.

Wszystko było takie dziwne. Może dlatego, iż była przekonana, że odnajdzie Petera w „Sea Cottage”, W marzeniach wyobrażała sobie, jak Peter wychodzi po nią na nie istniejącą już stację. W duchu widziała, jak podbiega do niej z rozwartymi ramionami, przyciska ją do siebie i obsypuje pocałunkami.

Ale marzenie i rzeczywistość nie mogłyby się różnić bardziej niż teraz. Minione lata wszystko odmieniły, i Jean zastanawiała się nawet, czy Peter w ogóle jeszcze o niej myśli.

Spytała Nicolę Sharp:

- Czy mówiła pani, że Peter niekiedy przyjeżdża do „Sea Cottage”?

- Od czasu do czasu widzę światło w oknach. Najczęściej w weekendy. Ale okna zawsze są szczelnie zasłonięte. Peter jeździ białym, sportowym wozem, który parkuje za domem. - Nicola wzruszyła ramionami. - Wygląda jednak na to, że unika kontaktów z mieszkańcami wsi. Od śmierci babki z nikim tu nie rozmawiał.

Podniosła się z miejsca i zebrała naczynia na tacę.

- Tam leży dzisiejsza gazeta, Jean. Usiądź sobie wygodnie i poczytaj trochę. - Nucąc jakąś piosenkę zniknęła w kuchni.

Jean nawet nie wzięła gazety do ręki. Zamiast tego uklękła przy Samie. Zaczęła głaskać jego jedwabistą sierść.

- Sam - powiedziała czule. - Jesteś bezwstydnym oszustem.

Sam zamruczał głośno, jakby chciał się z nią zgodzić.

- Wprawdzie nie jestem fachowcem - ciągnęła Jean - ale przy bliższym oglądzie muszę stwierdzić, że w najbliższym czasie spodziewasz się miotu cudownych kociąt. Opowiedz mi, Sam, jak to się stało, że podajesz się za kocura?

Od strony drzwi rozległ się cichy śmiech. Jean szybko wstała.

Do pokoju wszedł Dominic Regan. Miał na sobie tweedową marynarkę, pod nią zaś sportową, bawełnianą koszulkę. Jean zaczęła świerzbic skórą, gdy poczuła na sobie jego rozbawione spojrzenie.

- Nicola przeżyje największą niespodziankę swojego życia, kiedy jej Sam wyda na świat młode - powiedział miłym głosem. Jean zauważyła, że teraz nie wyglądał już tak groźnie, jak zachowała go w pamięci z wczorajszego wieczora.

- Ale przecież dostała Sama jako maleńkiego kotka.

Dominic potrząsnął głową.

- Sam - powiedział tonem przygany - jak mogłeś przez tyle lat oszukiwać biedną Nicolę?

Żółty kot zaczął ocierać się grzbietem o jego nogę. Dominic pochylił się, żeby podrapać go za uszami. Następne pytanie skierował do Jean.

- Dobrze się pani spało? Dzisiaj wygląda pani na wypoczętą. Wczoraj wieczorem odniosłem wrażenie, że nie bardzo mi pani dowierza.

Dziwne, że on sam wyraził to przypuszczenie, przemknęło Jean przez głowę. Ale wczorajszy wieczór należał już do

przeszłości. Dziś znów była sobą. Sen ją odświeżył. Znów potrafiła logicznie myśleć i podjęła, jak jej się zdawało, ważną decyzję.

Nie ucieknie stąd. Jeśli tu, w Saltcreek, działy się osobliwe rzeczy, które w jakiś sposób wiązały się z nią samą, to musiała się zorientować, o co chodzi. Fakt, że tak wielu ludzi interesowało się jej powrotem, nie mógł być przypadkowy.

Gdyby teraz tak po prostu uciekła, już nigdy nie dowiedziałaby się prawdy. Poza tym było coś jeszcze bardziej niepokojącego: nie dało się wykluczyć, że nadal będzie śledzona. Inni obcy ludzie mogliby usiłować zawrzeć z nią znajomość pod pretekstem, że byli zaprzyjaźnieni z Harveyem albo Sarą Laird.

Jeśli chciała dojść prawdy, nie mogła bez przerwy unikać ludzi, którzy tak gorączkowo usiłowali się do niej zbliżyć. Dlatego podniosła brodę wyżej niż zwykle i rzuciła Dominicowi chłodne spojrzenie.

Może dostrzegł w jej twarzy wyraz, którego się nie spodziewał. Ale uśmiechnął się, i Jean niechętnie stwierdziła, że Dominic ma w sobie więcej uroku.

- Chciałem panią zabrać na wycieczkę - powiedział.

Jean spodziewała się wszystkiego, ale ta propozycja wprawiła ją w osłupienie. Była tak zaskoczona, że z trudem wyjąkała:

- Ale ja... jeszcze dziś wybieram się do Norchester. Jestem... jestem umówiona z notariuszem.

- Ale chyba nie w sobotę. Dzisiaj z pewnością nie zastanie go pani w kancelarii.

Zupełnie o tym zapomniała. Była zdecydowana jeszcze dzisiaj odwiedzić notariat i wyjaśnić całą sprawę tajemniczego testamentu babki. Teraz jednak wyglądało na to, że będzie musiała poczekać z tym do poniedziałku.

- Czy pani Sharp nie będzie oczekiwała, że przyjdę na lunch? - próbowała się nieśmiało bronić.

- Nie wydaje mi się. Wszystko już z nią omówiłem - odparł Dominic z całkowitym spokojem.

Jean rozgniewało to jego niewzruszone przekonanie, że przyjmie jego zaproszenie.

- W ubiegłym tygodniu byłem na aukcji obrazów w starym dworze w Suffolk - wyjaśnił Dominic. - Teraz chciałbym odebrać te płótna. Okolice jest piękna, a jeśli pani zechce, po drodze możemy zjeść obiad.

- Obrazy? Jest pan historykiem sztuki?

- To za dużo powiedziane. Ale interesują mnie dawni malarze angielscy i w tej dziedzinie mógłbym określić siebie nawet jako eksperta. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby pani wybrała się ze mną.

Jean nie była całkiem pewna, czy ma na to ochotę. Kiedy jednak wyjrzała przez okno i zobaczyła czyste błękitne niebo nad rozświetlonym morzem, uznała, że warto skusić się na wycieczkę z Dominikiem.

- Dobrze, zgoda. Tylko włożę żakiet. Twarz Dominica rozpromieniła się.

- Zaczekam na panią w samochodzie.

Idąc do swojego pokoju Jean spojrzała w lustro. Sama była zaskoczona, że tak znakomicie wygląda. Jej oczy lśniły, a policzki nabrały świeżych rumieńców.

Wyglądała na szczęśliwą. I nie byłaby kobietą, gdy nie zauważyła z satysfakcją, że obcisłe dzinsy znakomicie podkreślały jej nienaganną figurę.

Czy Dominic interesował się nią tylko jako atrakcyjną kobietą? A może miał inne, starannie ukrywane powody, żeby zaprosić ją na wspólną wycieczkę?

Ta myśl zasiała w jej mózgu ziarno nieufności. Dominic Regan był po prostu nieznanym człowiekiem. Ślepe zaufanie byłoby więc dużą nieostrożnością.

Na pierwszy rzut oka mógł sprawiać wrażenie uczciwego, a przecież wczoraj wieczorem umieścił ją pod dachem Nicoli Sharp i nie odszedł, zanim się nie upewnił, że stąd nie odejdzie.

Czy to też miał być przypadek?

Ta myśl podziałała na nią jak kubeł zimnej wody i pozbawiła jej oczy odrobiny świetlistego blasku.

W samochodzie Jean siedziała obok Dominica z miną pełną rezerwy i chłodu. Zauważyła, że Dominic jeszcze raz obrzucił ją badawczym spojrzeniem, zanim ruszył z miejsca.

Jean z zachwytem wpatrywała się w nasyczone, jesienne barwy. Na błękitnym niebie świeciło słońce, a lekka bryza marszczyła powierzchnię morza. Jechali w głąb lądu przez gęsty mieszany las, którego listowie mieniło się wszystkimi barwami od żółci po kolor rdzy.

- Czyż to nie wspaniałe? - zawołała spontanicznie.

- Rzeczywiście, też tak myślę - zgodził się Dominic. W takich chwilach można zrozumieć, dlaczego ten krajobraz pociągał tak wielu malarzy.

- Mój wujek Harvey też malował. Wprawdzie nie był zbyt utalentowany ani nie odnosił sukcesów, ale autentycznie kochał sztukę. Czy pan wiedział, że jego autoportret wisiał w „Galeonie”? Ciekawa jestem, gdzie teraz znajduje się ten obraz.

- Najlepiej spytać o to Josha Tamlina. Przeprowadził się z żoną do jednej z chat rybackich przy latarni morskiej. Na pewno ucieszyłby się, gdyby go pani odwiedziła.

- Z całą pewnością. Pamiętam, że bardzo przyjaźnił się w wujem Harveyem. - W głosie Jean pobrzmiwała zaduma. -

Josh pozwalał mu wystawiać obrazy w „Galeonie”, żeby turyści je kupowali.

- W każdym razie powinna pani zwiedzić nasze muzeum regionalne - podsunął jej Dominic. - Jest wprawdzie niewielkie, ale bardzo interesujące. Znajdzie tam pani także liczne szczątki wraków okrętów, które w czasie sztormu roztrzaskały się o rafy. Wydaje mi się, że widziałem tam również portret jakiegoś kapitana, który wyglądał na starego, szczwanego lisa.

- W takim razie nie mógł to być wuj Harvey - zdecydowanie oświadczyła Jean, urażona jego uwagą.

- Prawdopodobnie ma pani rację.

Po dłuższej chwili milczenia Dominic spytał:

- Dlaczego po tylu latach wróciła pani do Saltcreek?

- Żeby otworzyć nowy rozdział w moim życiu.

- Nowy rozdział... Ale zamiast tego rozpoczęła pani podróż w przeszłość.

Jean z trudem opanowała gniew. Ta uwaga była po prostu bezczelna.

- Czy to pańska sprawa, co robię z własnym życiem? - spytała opryskliwie.

- Oczywiście że nie moja. Myślę nawet, że jest pewien urok w takiej postawie wobec życia. Wielu ludzi boi się przyszłości. O wiele wygodniej jest odwrócić się do niej plecami i w myślach schronić się w bezpiecznej przeszłości.

- Słuchając pana można by dojść do wniosku, że pozbawiona jestem wszelkiej samoświadomości.

- Tego nie miałem na myśli. W końcu jest pani z Lairdów. W tej rodzinie nigdy nie było tchórzów.

- Zna pan moje koligacje rodzinne? - z zainteresowaniem spytała Jean.

Znów to czujne, ostre spojrzenie kątem oka.

- Może nawet lepiej niż pani sądzi.

- Spodziewałam się tego. Wiedziałam, że będzie się pan podawał za dobrego przyjaciela rodziny. Pewnie za chwilę opowie pan historyjkę o tym, jak to chodził pan z moim wujem do szkoły i spędzał weekendy w domu mojej babki - uniosła się gniewem Jean.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia Dominic, nacisnął na pedał hamulca. Samochód z piskiem opon zatrzymał się na skraju szosy tak gwałtownie, że Jean omal nie uderzyła głową w przednią szybę.

Kiedy odzyskała równowagę i już chciała zasypać Dominica stkiem wyrzutów, popadła w zdumienie. Przeraziła się wyrazu jego twarzy. Krew zastygła jej w żyłach, kiedy się ku niej pochylił.

- Co pani chciała przez to powiedzieć? - spytał lodowatym głosem.

- Ja... - Jean przełknęła nerwowo. - To dlatego, że różni ludzie bez przerwy usiłują mi wmówić, że znali albo mnie, albo wuja Harveya.

- Czy to jest takie niezwykle? Przecież kiedyś często bywała pani w Saltcreek.

- Może ma pan rację...

Dominic wysiadł, obszedł samochód i otworzył drzwi po jej stronie.

- Proszę wysiąść! - rzekł rozkazującym tonem.

Podniósłszy na niego oczy, Jean nie mogła opanować uczucia strachu. Co on by zrobił, gdyby go po prostu nie posłuchała? Wywłóklby ją przemocą? Wszystkiego można się było po nim spodziewać.

Z biciem serca wysiadła z wozu. Prawa ręka Dominica zacisnęła się na jej przegubie jak żelazna obręcz.

- Przejdźmy tam - powiedział prowadząc ją do miejsca, skąd rozciągała się szeroka panorama.

Gdziekolwiek spojrzała, wszędzie tylko otwarte, nie uprawiane pola, jedynie gdzieś w oddali z komina chłopskiej chaty wzbijała się smużka dymu.

Dominic nie spuszczał jej z oczu.

- Proszę się uważnie rozejrzeć, a potem powie mi pani, co zobaczyła.

Jean nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przeważenie ścisnęło ją za gardło.

- Niech pani spojrzysz tam! - Palec Dominica wskazywał na rzysko. - I tam! No, co pani widzi?

Ich spojrzenia spotkały się.

- Nic.

- Właśnie. Nic, jak okiem sięgnąć. Jesteśmy tu zupełnie sami. Najbliższa wioska oddalona jest o wiele mil. A ta droga na większości map nawet nie jest zaznaczona. Gdybym chciał pani zrobić krzywdę, to teraz miałbym najdogodniejszą okazję.

Dominic podniósł rękę. W promieniu słońca błysnęły kluczyki do samochodu. Jean nawet nie drgnęła. Dominic ujął jej rękę i wcisnął w nią kluczyki.

- Należą do pani. Proszę wziąć samochód i pojechać gdzieś, gdzie będzie się pani czuła bezpiecznie. I gdzie nie będę mógł pani zagrozić.

Jean w milczeniu wpatrywała się w kluczyki na swojej otwartej dłoni. Kiedy wreszcie ośmieliła się podnieść wzrok, Dominic uśmiechnął się.

- Czy to nie jest uczciwa propozycja?

- Chyba zachowałam się bardzo dziecinnie - odparła speszona.

- Przykro mi, że musiałem panią wystraszyć. - Dominic znów spoważniał. - To bardzo rozsądne z pani strony, że nie dowierza pani każdemu spotkanemu człowiekowi. A ja

najwyraźniej wydałem się pani bardzo podejrzany. Jeszcze nie przestała się pani mnie bać?

Wyciągnął ku niej rękę. Jean zawahała się tylko na ułamek sekundy, zanim ufnie podała mu swoją dłoń.

- A więc będziemy przyjaciółmi, Jean?

- Tak mi się wydaje, Dominicu.

Jego wysoka, barczysta postać pochyliła się ku niej na tle świetlistego, błękitnego nieba... Była pewna, że zaraz ją pocałuje...

Nagle oddzieliło ją od Dominica pewne wspomnienie. Kiedyś już tak stała, widząc przed sobą sylwetkę mężczyzny, który się ku niej pochylał. A słowa, jakie wyszeptał, zawierały prawie obietnicę: „Wydaje mi się, że mógłbym cię pokochać...”

Jean odwróciła się gwałtownie i uwolniła rękę z jego uchwytu. Nawet jeśli Dominic wyczuł nagłą zmianę, jaka w niej zaszła, to w każdym razie nie dał tego po sobie poznać.

- Myślę, że powinniśmy już pojechać - powiedział, gdy w milczeniu ruszyli do samochodu.

Obserwowała go ukradkiem w czasie jazdy. Teraz wydawało się jej trochę śmieszne, że mogła mu do tego stopnia nie ufać. Ale może wzięło się to stąd, że jeszcze nigdy nie spotkała takiego mężczyzny jak Dominic Regan.

Malcolm był zupełnie inny. Teraz, kiedy patrzyła na to z dystansu, uznała, że dobrze zrobiła nie godząc się na małżeństwo. Bardzo lubiła Malcolma, zawsze mogła na nim polegać. Ale nigdy nie przeskoczyła pomiędzy nimi ta iskra, która budzi do życia prawdziwą namiętność.

Małżeństwo z Malcolmem byłoby z pewnością bardzo spokojne. Natomiast Jean tęskniła za uczuciem burzliwym.

Była gotowa ulec namiętności, nawet jeśli to miałyby ją zawieść w niebezpieczne rejony.

Znów rzuciła ukradkowe spojrzenie na Dominica. Czy teraz знаła tego mężczyznę lepiej niż przed dziesięcioma minutami? Miała dziwne wrażenie, że trochę się do niego zbliżyła. Dominic przestał być kimś obcym i groźnym. Podając mu dłoń, obdarzyła go jednocześnie pełnym zaufaniem.

Jean poczuła gwałtowne, rozpaczliwe pragnienie, żeby się nie okazało, iż pomyliła się co do Dominica Regana.

W końcu Dominic skreślił w długi, wysadzany drzewami podjazd. Zatrzymali się przed wielkim dworem, którego ceglana fasada zdawała się odbijać promienie jesiennego słońca.

Na dziedzińcu stało sporo samochodów dostawczych, kupcy doglądali załadunku swoich towarów. Dominic poprowadził Jean do przestronnego, wysokiego westybulu. Pośpiesznym krokiem przeszło obok nich dwóch mężczyzn niosących ciężki marmurowy posąg.

- Tam powinny być moje obrazy - stwierdził Dominic wskazując na niewielki sąsiedni pokój. Wewnątrz, na środku pomieszczenia, stało kilka niewielkich mebli. O ścianę oparto mniej więcej tuzin obrazów olejnych w złożonych ramach.

Dominic przyklęknął; żeby je dokładniej obejrzeć.

- Co pani sądzi o tym. obrazie? - spytał podnosząc niewielką martwą naturę.

Jean wzięła obraz do ręki.

- Trochę przypomina prace Crome'a. To pewnie nie jest oryginał, bo inaczej chyba nikt by go tutaj nie zostawił, ale może namalował go jeden z jego uczniów.

- Jestem tego samego zdania - zgodził się Dominic. - Wyślę to do mojego przyjaciela w Londynie, który jest ekspertem od malarstwa dziewiętnastego stulecia. - Gestem ręki wskazał na inne obrazy.

- Nie ma tu rzeczy bardzo cennych, ale jeśli się je oczyści i oprawi na nowo, powinny znaleźć nabywców.

Jean koniecznie chciała pomóc Dominicowi przenieść obrazy do samochodu. Tam starannie owinęli każdy z osobna w przygotowane płótno.

- Dzień dobry, panno Laird! - Rozległ się jakiś donośny głos.

Jean odwróciła się zaskoczona i ujrzała uśmiechniętą twarz Donalda Carfaxa. W otwartym kartonie niósł kilka kieliszków.

- Jak widzę, zdążyła się już pani rozejrzeć po okolicy - ciągnął jowialnie Carfax. - Czy już odpoczęła pani po trudach podróży? Jestem zaskoczony, że panią tu dziś spotykam.

Dominic obszedł tymczasem samochód i skinął Carfaxowi głową.

- Przyjechaliśmy odebrać kilka obrazów, które nabyłem na licytacji - wyjaśnił. - A więc państwo się znacie?

- Pan Carfax był tak miły i podwiózł mnie wczoraj swoim samochodem do Saltcreek - powiedziała Jean. - Pan również interesuje się antykami?

- Właściwie nie. Ale jeśli któryś z tych wielkopańskich dworów idzie pod młotek, zawsze lubię sobie obejrzeć, jakie to nagromadzono w nim skarby. - Wskazał na kieliszki. A tym razem nawet coś kupiłem. Może wpadnie pani dziś do mnie na kieliszek wina, kiedy już je wymyję i wypoleruję?

Jean już miała powiedzieć: "Dziękuję, chętnie", ale Dominic ją uprzedził:

- Panna Laird jest już umówiona na kolację ze mną. Carfax wyglądał na rozczarowanego, jednak po chwili się rozpogodził.

- Nic nie szkodzi. Może spotkamy się innym razem. - Uchylił kapelusza i wszedł do wnętrza dworu.

Dominic zamknął bagażnik. - Któż to taki? - spytał, gdy Jean wsiadła do samochodu.

- Donald Carfax, stary przyjaciel mojego wuja. Razem walczyli na wojnie.

- Czy wie pani, od kiedy on mieszka w Saltcreek?

- Dopiero od kilku miesięcy. Mówi, że osiadł tu po przejściu na emeryturę.

- Zamówiłem stolik na pierwszą. Jeśli się pośpieszymy, to powinniśmy zdążyć.

Co za potworny zarozumialec, pomyślała Jean, kiedy samochód jechał krętą, wysadzaną krzewami drogą. Uznał za oczywiste, że zjem z nim kolację. Sama nie wiedziała, czy ma na to ochotę czy nie. W każdym razie Malcolm nigdy by się tak nie zachował. Choć właśnie tego Jean w nim brakowało.

Nie było to nieprzyjemne uczucie, gdy adorował ją taki mężczyzna jak Dominic Regan. Nie mogła dokończyć tej myśli, gdyż wjechali do małej uroczej wioski. Domy z muru pruskiego o barwnie pomalowanych okiennicach przycupnęły pod wysokimi, starymi drzewami. .

Dominic zaparkował samochód przed romantycznym zajazdem, który kiedyś na pewno należał do posiadłości ziemskiej. Już z zewnątrz było widać, że budynek musiał być bardzo stary.

Kiedy weszli, zachwyciły ją szybki witrażowe i długie, okopcone belki wiązara dachowego, z których zwisały miedziane lampy.

- Według pewnej legendy Henryk VIII przejeżdżał pewnego razu przez tę wieś, wracając z polowania - zaczął opowiadać Dominic. - Od długiego siedzenia w siodle krzyż bolał go tak okropnie, że zawołał: „Worek złota dla człowieka, który uwolni mnie od tego bólu”. Tutejszy gospodarz przyniósł mu dzban uważonego przez siebie piwa, które było tak mocne, że monarcha przestał czuć ból w plecach. Człek

ów otrzymał złoto i wybudował oberżę, w której właśnie się znajdujemy.

- Wierzę w każde pańskie słowo - z powagą odparła Jean, gdy zajmowali miejsca.

Nagle nie mogła się już powstrzymać od śmiechu. Dominic popatrzył na nią w taki sposób, jakby widział ją po raz pierwszy. Jean z satysfakcją zauważyła w jego oczach podziw.

- Wie pani, że po raz pierwszy widzę panią roześmianą? Dzięki temu jest pani jeszcze piękniejsza. Powinna się pani śmiać o wiele częściej.

Jean z ulgą przyjęła pojawienie się kelnera. Przez kilka minut zajmowali się studiowaniem menu.

Dominic okazał się interesującym rozmówcą. Opowiadał o „Galeonie” i znał mnóstwo zabawnych anegdotek o przyjaciółach, którzy w handlu antykami albo mieli nieoczekiwane szczęście, albo też zostali bezlitośnie nabrani. Prowadzili lekką, swobodną pogawędkę. Później spokojnie wypili jeszcze po filiżance mokki.

Jean siedziała przy niskim oknie, wychodzącym na wąską uliczkę, która prowadziła na błonie. Koniec drogi ocieniał potężny dąb.

Jean zamierzała właśnie pociągnąć łyk mokki, gdy zauważyła, że ktoś stoi pod cienistym, rdzawym listowiem. Był to mężczyzna. Dziwne, pomyślała Jean, wygląda tak, jakby patrzył przez okno właśnie na mnie.

Potem rozpoznała jego czarne, kręcone włosy i krępa sylwetkę.

Przeniknęło ją uczucie nieopisanej radości. Zerwała się z miejsca, słysząc jeszcze, jak Dominic coś do niej mówi, i wybiegła na zewnątrz. Ile sił w nogach biegła w kierunku drzewa, pod którym stał mężczyzna.

- Peter! Peter!

Czyżby zawołała to imię na cały głos? Jean nie umiałaby odpowiedzieć na to pytanie. Wiedziała tylko, że jak najszybciej musi dotrzeć do końca uliczki. Stopami ledwie dotykała bruku.

Pomiędzy domami promienie słońca padały na bruk, tak więc Jean biegła na przemian przez miejsca cieniste i rozświetlone.

Oślepiąca światłem słońca musiała najpierw przyzwycząić wzrok do cienia dębu.

- Peter! To ja, Jean!

Ale była tu sama. Gdzieś niedaleko rozległo się wycie silnika: biały sportowy wóz z piskiem opon wyłonił się zza zakrętu, by po chwili zniknąć jej z pola widzenia.

- Peter... - szepnęła w ciszy.

Jej serce ogarnęło uczucie bezkresnej pustki i samotności. Do głębi poruszona, wolnym krokiem wróciła do gospody. Dominic nie zadawał żadnych pytań, i była mu za to wdzięczna. Do Saltcreek wracali w zupełnym milczeniu. Nieoczekiwane spotkanie i niezrozumiałe zachowanie Petera na nowo rozbudziły jej dopiero co uciszoną nieufność.

Kiedy dotarli do Saltcreek, bez słowa wyjaśnienia poprosiła Dominica, żeby wysadził ją przed domem panny Green. Jeśli ktoś mógł jej odpowiedzieć na kilka pytań, to właśnie ta kobieta, w której sklepie, pełniącym równocześnie rolę urzędu pocztowego, zbiegały się wszystkie informacje.

Rozdział 4

- Cóż za niespodzianka - zaszczębiotała panna Green. - Nasza mała Jean wróciła z Nowej Zelandii. Już myślałam, że zostaniesz tam na zawsze.

Z uczuciem lekkiego rozczarowania Jean rozglądała się po sklepiku. Brakowało lśniącej mosiężnej wagi i starego młynka, z którego zawsze unosił się kuszący zapach świeżo palonej kawy.

Zniknęły haki z ogromnymi połciami słoniny, a cukier i mąka nie były już odważane do niebieskich torebek. Postęp nie ominął również maleńkiego okienka pocztowego. W tej chwili podstarzała panna Green siedziała w budce ze szkła i stali.

Przez te wszystkie lata nie zmieniła się tylko panna Green. Nadal była tą samą pulchną kobietą o siwych, sztywnych włosach.

- Jak widzisz, zrobiliśmy tu przemeblowanie - odezwała się panna Green. - Samoobsługa. Jak latem przyjeżdżają kuracjusze, to wolą sami wybierać sobie z półek, co im się podoba.

- To... to wszystko wygląda tak obco - szepnęła Jean.

- Ale chyba nie przyszłaś tutaj, żeby rozmawiać ze mną o sklepie - stwierdziła panna Green. - Na pewno chciałybyś się dowiedzieć, co słyhać u twojego kuzyna, prawda? Ostatni raz widziałam go na pogrzebie twojej babki. Nawiasem mówiąc, zaszczębił mnie tylko lekkim skinieniem głowy.

- Musiał być strasznie przygnębiony. Bardzo był przywiązany do babci.

Panna Green pogardliwie prychnęła przez nos.

- On niby miał być przywiązany do babki? To dlaczego nie pokazał się przez te wszystkie lata? Widzisz - zawołała tryumfalnie - od razu wiedziałam. Pewnie nie miałaś o tym pojęcia, prawda?

Dobry Boże, pomyślała Jean. Po co ja tu przyszłam! Panna Green nadal była największą plotkarą we wsi, ale kiedy mówiła o Peterze, w jej głosie wyraźnie dawało się wyczuć pretensje.

- Ale... ale chyba nie sprzedał „Sea Cottage”? - Jean próbowała zmienić temat.

- Jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu. Dla takiego młodego człowieka jak Peter, Saltcreek nie ma żadnego uroku. Nigdy nie osiadłby tu na stałe jak jego ojciec. - Popatrzyła na Jean z ciekawością. - Ty na pewno też tu nie zostaniesz, co? Słyszałam, że babka Laird nie zapisała ci domu. Musiała wiedzieć, że Saltcreek nic dla ciebie nie znaczy.

- Zawsze lubiłam przyjeżdżać do Saltcreek. Chętnie zamieszkałabym tu na stałe.

- Chcesz się dać żywcem pogrzebać? - szorstko spytała panna Green. - Saltcreek to odpowiednie miejsce dla takiej starej kobiety jak ja. Ale młoda dziewczyna powinna wyjść za mąż i założyć rodzinę. W Saltcreek nigdy nie znajdziesz męża!

Do sklepu wszedł jakiś klient. Jean skorzystała z okazji, by wymknąć się na zewnątrz.

Teraz żałowała, że w ogóle odwiedziła starszawą poczmistrzynię. Wbrew oczekiwaniom nie dowiedziała się nic nowego o Peterze. Ani na chwilę nie opuszczało jej uczucie, jakby coś sprzątnięto jej sprzed nosa. Peter był już niemal na wyciągnięcie ręki, potem jednak zniknął, jakby rozplynał się w powietrzu.

A może jednak się pomyliła?

Teraz Jean nie miała już całkowitej pewności. Mężczyzna, którego widziała w cieniu dębu, wyglądał jak Peter. Ale upłynęło już dziesięć lat od chwili, gdy po raz ostatni widziała swojego kuzyna. Wtedy był jeszcze prawie dzieckiem. Teraz

musiał być dojrzałym mężczyzną, i Jean zastanawiała się, jak też mógł wyglądać.

Przypomniała sobie uczucie przerażenia, jakie ogarnęło ją, gdy wpatrywała się w pustą uliczkę.

Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo nietaktownie zachowała się wobec Dominica Regana. Ciekawe, co też on sobie o niej pomyślał? Najpierw wybiegła z gospody, potem potraktowała go jak taksówkarza, a na domiar wszystkiego nawet się z nim nie pożegnała.

Powinna go przeprosić.

Ze zdumieniem stwierdziła, że Dominic czeka na nią przed sklepem panny Green. Stał niedbale opierając się o samochód. Przywitał ją chłodnym uśmiechem.

- Strasznie mi przykro - powiedziała Jean.

- Uwielbiam sytuacje, kiedy ktoś zostawia mnie na lodzie.

- Przecież już powiedziałam, że jest mi przykro. W tej gospodzie miałam wrażenie, że na zewnątrz stoi ktoś, kogo znam.

- I rzeczywiście tak było?

- Niestety, ten ktoś na mnie nie zaczekał, - Nie potrafiła ukryć swego rozczarowania. - Możliwe jednak, że się pomyliłam.

- Cóż, nic takiego się nie stało. Z pewnością znów go pani spotka. Jeśli mieszka gdzieś w okolicy, to może nawet pojawi się na balu dziś wieczorem.

- Na balu?

Dominic włączył silnik i wyjechał na ulicę.

- Tak. To jest bal, na który pójdziemy dziś wieczór. Organizowany jest przez Country Club, bardzo blisko Saltcreek. Mam nadzieję, że nie da mi pani kosza.

- Nie, nie. Oczywiście, że nie - pośpiesznie odpowiedziała Jean. W myślach wciąż jeszcze próbowała uporać się ze

swoim rozczarowaniem: rozminęła się z Peterem dosłownie o włos.

Wspominała ostatnie lato z Peterem, szczęście, jakie dawała jej jego bliskość i wspólne spacerowanie po plaży. Gdyby tak byli wówczas starsi przynajmniej o rok! Łatwiej byłoby się im uporać z tymi nowymi, tak niezwykle ekscytującymi uczuciami.

Nagle przestało być dla niej istotne, czy ów mężczyzna pod dębem to rzeczywiście był Peter. O wiele ważniejsze stało się uczucie, jakie to nieudane spotkanie w niej obudziło. Jakby ktoś napiął strunę, której vibracje odczuwała jeszcze teraz.

Ale to przecież niemożliwe, żebym go jeszcze kochała po tak długim czasie, zdziwiła się Jean. Czy to, co zakiełkowało w ich sercach podczas ostatniego lata spędzonego w Saltcreek, było rzeczywiście miłością? Czy to była miłość, kiedy mocno do siebie przytuleni stali na brzegu morza w promieniach zachodzącego słońca?

Czuła palące, trawiące ją pragnienie ponownego ujścia Petera. Drżała na myśl, że dotknie jego ręki i zatopi się w spojrzeniu jego ciemnych oczu.

Och, Peter, dlaczego na mnie nie zaczekałeś?

Nagle zorientowała się, że Dominic coś do niej mówi.

- Przepraszam, czy pan coś powiedział?

- Myślę, że powinniśmy odszukać portret pani wuja. Zdaje się, że bardzo go pani lubiła.

- To był cudowny człowiek - uśmiechnęła się Jean - który potrafił korzystać z życia. W każdym razie takim zachowałam go w pamięci. Potrafię zrozumieć, że od czasu do czasu popadał w tarapaty. Ale to musiało wynikać z jego radości życia i umiłowania przygód.

- O jakich tarapatach pani mówi? Czy pani wuj bywał lekkomyślny?

- To zdarzyło się podczas wojny - z wahaniem odparła Jean. - Niestety nie znam całej tej historii. Ale wuj Harvey służył wówczas na froncie jako żołnierz, i niekiedy trafiała mu się okazja do zbierania tak zwanych „souvenirów”.

- Wielu żołnierzy przywoziło do domu cenne przedmioty, które zbierali po walce - rzucił od niechcienia Dominic. - Zdobycz wojenna, tak można by to określić.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Dominic był o wiele miłszy, niż myślała. Potrafił być również uprzejmy. W każdym razie nie zrobił jej sceny, kiedy tak po prostu zostawiła go przy stoliku. Zabrał ją na wycieczkę, i jeśli nawet nie odczuwała wielkiej ochoty, by pójść wieczorem na tańce, to musiała przyznać, że starał się jak mógł, by umilić jej pobyt w Saltcreek.

- Właśnie to próbowałam wyjaśnić mojej matce. Ale ona nigdy nie lubiła wujka Harveya. Najgorsze było jednak to, że po wojnie policja zjawiała się u babci. To był dla niej straszny szok.

- Czy sprawa była aż tak poważna?

- Podobno znaleźli w „Sea Cottage” mnóstwo rzeczy, które wuj przywłaszczył sobie po zakończeniu wojny.

- Prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie sprawy z ich wartości.

Jean nie chciała kłamać.

- Wydaje mi się, że wuj miał słabość do pięknych rzeczy. Tylko że jako malarz nie zarabiał dostatecznie dużo, by mógł sobie na nie pozwolić. I kiedy trafiła się okazja...

- Każda wojna jest straszna - wtrącił Dominic. A ponieważ zajechali już pod dom Nicoli Sharp, Dominic zahamował i zwrócił się do Jean.

- Teraz niestety muszę zostawić panią samą, Jean. Obowiązki wzywają. W sobotę zawsze przychodzi sporo

klientów. Muszę otworzyć sklep, wyładować obrazy... Powiedzmy więc o wpół do ósmej?

W ten sposób decyzja została już podjęta. Dominic nawet nie dał jej okazji, by mogła odrzucić jego zaproszenie. Skinęła głową, po czym odprowadziła wzrokiem oddalający się samochód.

Popołudnie było tak wspaniałe, że Jean wybrała się jeszcze na spacer po wsi.

Niejedno się zmieniło. Wiele starych romantycznych chat rybackich zostało unowocześnionych. Nawet „Złoty Kogut” lśnił nowym blaskiem po niedawnym malowaniu, a nad wejściem do gospody wisiał nowy szyld. W oknach stały kwiaty, zaś miedziane okucia drzwi błyszcząły w promieniach słońca.

Nagle ujrzała wywieszkę w jednym z okien: „Wolne pokoje”. Litery były duże i wyraźne.

Jean znów ogarnął gniew. Czyż Dominic Regan nie powiedział, że „Złoty Kogut” nie jest miejscem dla uczciwych młodych kobiet? Przecież nie mógł sądzić, że ten zachwycający zajazd nie był dla niej odpowiednim miejscem.

Kiedy szła w stronę morza, jej gniew powoli zaczynał stygnąć. Dominic Regan w ogóle nie dał jej możliwości wyboru pomiędzy „Złotym Kogutem” a prywatną kwaterą. Nie pytając jej o zdanie, zaprowadził ją prosto do domu, który należał akurat do Nicoli Sharp.

Wszystko zostało zaplanowane według jednego schematu. Zaczęło się na lotnisku od niezręcznej próby George'a Russela, który chciał z nią zawrzeć znajomość. Potem usiłowania Nicoli Sharp, która próbowała odegrać rolę przyjaciółki jej babki.

Czy po powrocie do Saltcreek Nicola od razu pobiegła do Dominica Regana z informacją, że stracili Jean z oczu? Czy Dominic odpowiedział jej na przykład tak: „Nie przejmuj się.

Zaprowadzę małą Lairdównę do ciebie, skoro tylko tu się zjawi. Przecież ona nie ma pojęcia, że »Galeon« nie jest już zajazdem. A kiedy zamieszka pod twoim dachem, będziesz ją miała na oku"?

Jean przystanęła na rozległej, pustej plaży i szczerzej otuliła się żakietem. Drżała. Sama myśl, że rozmowa Dominica Regana z Nicolą Sharp mogła mieć taki przebieg, wprowadziła ją w niesamowicie przygnębiający nastrój.

Ale dlaczego? przemknęło jej przez głowę. Przecież była tak mało znaczącą osobą. Nie posiadała nic, co można by ukraść. Cały jej majątek składał się z kilku skromnych sztuk biżuterii po matce i niewielkiego konta w banku. Sytuacja wyglądałaby naturalnie inaczej, gdyby babka zapisała jej w testamencie „Sea Cottage”. Wówczas cała ta zabawa w śledzenie miałyby jakiś sens.

Nagle myśli Jean skupiły się na jedynym przedmiocie, jaki odziedziczyła po babce: na marynarskim kuferku starego Silasa.

- Na pewno jest wypełniony po brzegi złotem - zawołała jej koleżanka z biura, gdy Jean opowiedziała w Auckland o tym dziwnym testamencie.

- To byłoby zbyt pospolite - zażartowała inna. Może w środku jest mapa z zaznaczonym miejscem, gdzie zakopano jakieś skarby, albo korona królowej Saby.

Jean z ulgą przyjęła fakt, że w biurze wkrótce zaprzestano rozmów na ten temat.

Napisała do notariusza z prośbą o przesłanie kuferka do Nowej Zelandii. Odpowiedź była uprzejma, ale zdecydowana. Zmarła pani Laird wyraźnie zastrzegła w testamencie, że Jean musi odebrać kuferkę osobiście. Nie było zatem innej możliwości wręczenia jej części spadku: sama musiała pojawić się w kancelarii w Norchester.

Po tym liście Jean zamówiła kosztowną rozmowę z Anglią. Po drugiej stronie odezwał się notariusz Frank Miller, który potwierdził brzmienie testamentu.

- Czy może mi pan powiedzieć, co jest w tej skrzynce? - zapytała.

- Ogromnie mi przykro, ale o tym nie mogę rozmawiać przez telefon - odparł Frank Miller. - Nawiasem mówiąc, skrzynka nie waży zbyt wiele. Nie sądzę zatem, by mogła zawierać coś ciężkiego. Nie wykluczam nawet, że jest pusta.

Kontynuowanie tej rozmowy nie miało żadnego sensu.

Jean przypomniała sobie, że w pewnej chwili zważyła we władze umysłowe babki, która zapisała jej w spadku przypuszczalnie pusty kuferek. Może coś już jej się pomieszało w głowie, kiedy spisywała testament?

Natychmiast jednak odsunęła od siebie tę myśl. Jeśli ktokolwiek zachował zdrowy rozsądek do późnej starości, to z pewnością Sara Laird. I jeśli zapisała swojej wnuczce stary kuferek marynarski, to na pewno miała jakiś konkretny powód.

Jean westchnęła. Przed miesiącem napisała do notariuszy Millera i Conroya, że gotowa jest odebrać skrzynkę osobiście.

A teraz była w Anglii i tylko dwa dni dzieliły ją od chwili odebrania spadku. I od pierwszego momentu, gdy stanęła na ziemi angielskiej, deptali jej po piętach ludzie, ścigający ją niczym sfora myśliwskich psów zwierzynę. Jean nie potrafiła sobie wyobrazić, że cała ich uwaga skoncentrowała się na kufierku starego Silasa Lairda.

Doskonale pamiętała ten kuferek. Zawsze stał na dębowej komodzie babki. Sara Laird czasami otwierała ciężką pokrywę, żeby wnuczka mogły do niego zajrzeć. W środku był wyściełany wyblakłym czerwonym aksamitem. Lekko zalatywał tytoniem i dziegciem.

- A co tu ukrywał stary Silas? zawsze dopytywała się Jean.

- Tajemnice - lakonicznie odpowiadała babka. Jean jeszcze dziś pamiętała, jak pewnego razu spytała swoją matkę o Silasa.

- Największy bandyta pod słońcem - pogardliwie odparła matka. - Zawsze ocierał się o szubienicę.

- Ależ, Noro - usiłował łagodzić ojciec. - Ten biedak nie robił nic złego, tylko czasem przemycił przez Kanał kilka beczulek koniaku czy belę jedwabiu.

- Naruszał prawo - upierała się Nora. - A tym nie wolno się chwalić przed dzieckiem. Przecież w ten sposób ona wyrośnie w przekonaniu, że wszyscy jej przodkowie byli piratami i rozbójnikami.

- Nie wszyscy, moja droga. Przyznasz chyba, że czarna owca może się trafić w każdej rodzinie.

- Na przykład wuj Harvey? - wtrąciła Jean, kierując się jedynie tym, co kiedyś przypadkiem podsłyszała, ale czego nie potrafiła zrozumieć. Ojciec wybuchnął szczerym śmiechem.

- Trafiłaś w dziesiątkę, skarbie. Sam nie potrafiłbym lepiej określić mojego zacnego braciszka. A jednak lubiłem Harveya. Powinnaś być dumna ze swojej rodziny. Nie każdemu trafia się to szczęście, że ma wśród krewnych taką czarną owcę jak wuj Harvey.

Kiedy następnego lata przyjechała do Saltcreek, powitała Petera z powściągliwą nieśmiałością. Cóż za okropność mieć ojca, który był czarną owcą w rodzinie! Ale Peter pozostał tym samym beztroskim chłopakiem. Nie można było po nim poznać, czy czuje się gorszy od pozostałych dzieci. Zachowywał się jak wszyscy chłopcy w jego wieku.

Może jednak, z lękiem myślała wówczas Jean, Peter w ogóle nie wie, że jego ojciec jest czarną owcą. Widywał

Harveya tylko w czasie wakacji, a nawet wtedy wuj często znikał na dłużej, nikogo o tym nie uprzedzając.

Niekiedy o świcie budził Jean warkot silnika odpływającej łodzi. I jeśli się pośpieszyła i wyjrzała przez okno, mogła jeszcze zauważyć, jak w mglistym świetle poranka wuj Harvey znika za występem skalnym.

- Dokąd on pływa? - spytała kiedyś Petera.

- Pewnie na ryby.

- A czy nie mógłby pracować jak mój tata?

Peter tylko wzruszył ramionami. Wyciągniętą ręką wskazał na mewy, krążące z szalonym piskiem nad powierzchnią morza.

- Równie dobrze można by próbować zamknąć te ptaki w klatce - odparł z uśmiechem.

Jean otrząsnęła się ze wspomnień. Podniosła kołnierz zakietu. Wszystko to należało już do przeszłości. Wuj Harvey od dawna już nie żył. Ostatnie lata swego życia spędził w maleńkiej, odciętej od świata wioseczce, gdzie każdy zarobiony malowaniem obrazów grosz zamieniał w „Galeonie” na wódkę.

Czy w kuferku mogło się znajdować coś, co po wszystkich tych latach miało związek z jej życiem i z życiem Petera? Dowie się tego już w poniedziałek rano! Potem spakuje walizkę i na zawsze pożegna się z Saltcreek. Bez względu na to, co znajdowało się w kuferku. W tej chwili było to Jean zupełnie obojętne. Uświadomiła sobie bowiem, że powrót do Saltcreek był błędem.

Czar prysł. Dawniej wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa opromieniało wszystko jasnym blaskiem. Wówczas jej świat był jeszcze nietknięty, czekała ją burzliwa młodość z nieprzebrany bogactwem wszelkich możliwości. No i jeszcze ten ciemnowłosy, roześmiany chłopak, którego, jak jej się zdawało, kochała... Nagle powiał zimny wiatr,

niosąc od strony morza lodowate, drobne kropelki słonej wody. Jean odwróciła się i ruszyła z powrotem do wsi. Zapomniała zapytać pannę Green o coś jeszcze. Dlatego znów zaszła do sklepiku, żeby spytać o Josha Tamlina.

- Josh Tamlin? Ależ oczywiście, że jeszcze tutaj mieszka - odparła panna Green. - W tej małej, białej chacie rybackiej tuż obok latarni morskiej. Mary opiekowała się twoją babką w czasie choroby. A potem nie usłyszała od twojego kuzyna ani słowa podziękowania. Ucieszyłaby się, gdybyś powiedziała jej kilka miłych słów.

Jean podziękowała za informację i skręciła na kamienistą ścieżkę, wiodącą pod górę ku latarni morskiej. Stąd roztaczał się rozległy widok na morze, które daleko na horyzoncie zlewało się z niebem.

Natychmiast poznała Mary Tamlin, kiedy ta pulchna, siwowłosa kobieta otworzyła jej drzwi. A zachwycony okrzyk Mary przekonał ją, że i ona została rozpoznana.

- Jean, moje drogie dziecko! Myślałam, że zemdleję z wrażenia, kiedy cię ujrzałam. Jesteś niesamowicie podobna do swojej babki. Ale wejdź, proszę! Na dworze jest tak zimno! - Z palcem na ustach zamknęła drzwi i zaprowadziła Jean do ciepłej, przytulnej kuchni. - Josh zawsze musi się zdrzemnąć po południu, więc nie chciałabym go obudzić. Ostatnio jest trochę słaby, dlatego muszę o niego dbać. Usiądź tu przy ogniu, zaparzę herbatę.

- Panna Green mi powiedziała, gdzie państwo mieszkacie. Nie miałam pojęcia, że przekazaliście „Galeon” w obce ręce.

- Wiesz, ta praca była już dla nas, staruszków, za ciężka, a interes szedł coraz marniej. - Mary energicznie postawiła czajnik na ogniu. - Emily Green we wszystko musi wetknąć swój nos, ale dzięki Bogu są jeszcze rzeczy, o których nawet ona nie potrafi się nic dowiedzieć.

- Na przykład o Lairdach? - z wahaniem powiedziała Jean. - O to pani chodziło, prawda?

- Każdy ma coś do ukrycia - odrzekła wymijająco Mary. - I każdy powinien zająć się najpierw swoimi sprawami.

- Ale nie każdy ma takiego przodka jak Silas Laird - wtrąciła Jean, przyglądając się, jak Mary nalewa do filiżanek aromatycznej herbaty.

Starsza pani roześmiała się.

- Czasami wydaje mi się, że wszystko, co się o nim opowiada, jest mocno przesadzone. Ale rzeczywiście, masz rację, Silas był niezwykłym śmiałkiem i łobuzem, aż nadeszła starość i stał się podporą kościoła.

Jean mieszała cukier w swojej herbacie.

- A wuj Harvey? - spytała. - Jak było z nim? Mary milczała przez chwilę, spoglądając ze zmarszczonym czołem przez okno.

- Złamał serce Sarze Laird - powiedziała w końcu. - Pewnie potrafisz sobie wyobrazić, co się działo, gdy policja wywróciła „Sea Cottage”. W poszukiwaniu skrytek opukiwali wszystkie ściany i zrywali deski podłogowe.

I w końcu znaleźli to, czego szukali.

- Jego „souveniry”?

- Tak, tak to można nazwać. - Mary wzruszyła ramionami. - Było tam sporo bardzo kosztownych rzeczy, pochodzących z najwytworniejszych domów Francji.

- Ale przecież wuj Harvey nie wziął ich rozmyślnie... - zaczęła niepewnie Jean.

- No, no, moja dziewczynko, nie martw się - przyjaźnie powiedziała Mary. - Różnie to można oceniać. Ale faktem jest, że twój wujek wszystkie te rzeczy ukradł. A po wojnie przemycił je z Francji i ukrył w „Sea Cottage”. Myślał, że tam nikt ich nie znajdzie. Miał przynajmniej tyle szczęścia, że nie wylądował w więzieniu.

- Ale po co to zrobił? - spytała Jean, która poczuła się mocno nieswojo.

- Najwidoczniej zamierzał wszystko po kolei sprzedać prawowitym właścicielom, przemilczając przy tym, jak wszedł w posiadanie tych kosztowności. Wielu ludzi było szczęśliwych, że może odkupić część rodzinnego dziedzictwa. W ten sposób zdążył się pozbyć wszystkich drobniejszych przedmiotów. Ale ktoś na niego doniósł i policja zorientowała się w jego ciemnych sprawkach.

Jean nie tknęła herbaty, starając się jakoś oswoić z nowym wizerunkiem wuja, jaki przedstawiła jej Mary. Dla niej wuj Harvey zawsze był tylko niezwykle wesołym człowiekiem. Zachowała go w pamięci jako roześmianego, ciemnowłosego mężczyznę, który kupował jej lody i nosił ją na barana do „Sea Cottage”. Ale jego życie miało jeszcze inną stronę, która pozostawała ukryta dla bezkrytycznych oczu dziecka. Był złodziejem i szantażystą.

- Po prostu nie mogę tego pojąć - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem, choć dobrze wiedziała, że Mary nie kłamie.

- Nie bierz tego tak tragicznie, dziewczyno - uspokajała ją Mary. - Poczekaj, naleję ci świeżej herbaty. Czyżby do tej pory nikt nie opowiedział ci o podejrzanych interesach wuja? Twoi rodzice prawdopodobnie wstydzili się wuja Harveya. A co się tyczy twojej babki...

- Ona miała takie wielkie ideały! To musiało złamać jej serce.

- Lairdowie potrafią wiele znieść - uśmiechnęła się Mary.
- Czasem się ugną, ale nic nie może ich złamać. Jeśli kogoś to naprawdę mocno zraniło, to twojego kuzyna Petera. Wyrastał ze świadomością, że cała wieś zna przeszłość jego ojca. To z pewnością musiało być dla niego trudne do zniesienia.

- Sądzi pani, że właśnie dlatego nie przyjeżdżał później do Saltcreek?

- Cóż, co się tego tyczy - odparła Mary pogrążona w zadumie - to nie mogłabym tak powiedzieć. Ale pewnego razu, kiedy odwiedziłam twoją babkę, zastałam ją przy czytaniu listu od twojego kuzyna. To mogło być jakieś dwa, trzy lata po waszym wyjeździe do Nowej Zelandii. „Peter do mnie napisał, powiedziała. Z Londynu. Ma się dobrze, w najbliższym czasie nie będzie mógł przyjechać do Saltcreek. Znalazł nowych przyjaciół, i podoba mu się życie w Londynie.” A potem zmięła list i wrzuciła go do ognia.

Jean nie wiedziała dlaczego, ale nagle przeszedł ją dreszcz. Niespodziewanie odżyło jej w pamięci mroczne, gorzkie wspomnienie z przeszłości.

- Nigdy więcej już się tu nie pokazał, nawet kiedy twoja babka zachorowała - ciągnęła dalej Mary. - Prosiłam ją, żeby pozwoliła mi napisać do Petera, ale sama wiesz najlepiej, jaka była dumna. „Dla niego nie ma tu już nic oprócz pewnej starej kobiety, powiedziała mi pewnego razu. I czegoś jeszcze, ale tego nigdy nie chciałam mu dać. Dlatego już tu nie przyjeżdża. Do Saltcreek mógłby się wybrać tylko wówczas, gdybym mu obiecała, że to dostanie. Ale to nie jest przeznaczone dla niego...”

Jean obrzuciła Mary badawczym spojrzeniem.

- Co babcia miała na myśli mówiąc: „I coś jeszcze”?

- Nigdy mi tego nie powiedziała, a ja nie chciałam jej wypytywać.

Tymczasem do kuchni powoli wślizgnął się półmrok, a ostry wiatr pędził po ogrodzie ostatnie płatki zwiędłych róż. Jean wstała z ociąganiem. Nie miała jeszcze ochoty stąd wyjść. Czowała się tak bardzo niepewnie.

- Koniecznie musisz nas jeszcze odwiedzić i porozmawiać z Joshem. Sprawiłoby mu to wielką radość.

Pewnie najpierw zaszłaś do „Galeonu” i pytałaś o wolny pokój?

- Tak. Dominic Regan znalazł dla mnie kwaterę. Chyba go pani nie zna. On tylko czasowo zastępuje właściciela antykwariatu.

- Pewnie, że go znam - stwierdziła Mary. - Czy on nie był u twojej babki na krótko przed jej śmiercią?

Jean jakby odebrało mowę. Miała wrażenie, że się przesłyszała.

- Dominic Regan odwiedził moją babkę? - spytała z niedowierzaniem.

Mary skinęła głową.

- Mniej więcej na tydzień przed jej śmiercią. Pojawił się nieoczekiwanie i spytał, czy może z nią porozmawiać. Wiedział już, że jest chora. Chciałam go odesłać z kwitkiem, ale Sara koniecznie chciała go zobaczyć. Powitali się jak dwoje dobrych znajomych.

- O czym oni mogli rozmawiać? Co on jej powiedział?

- Tego niestety nie mogę ci powiedzieć, Jean. Sara poprosiła, żebym ją zostawiła z tym młodzieńcem sam na sam. Ale kiedy pan Regan miał już wyjść, powiedział jeszcze przez wpółotwarte drzwi coś takiego: „Może pani to jeszcze raz przemyśli”. Sara tylko się roześmiała. „Na pewno otrzyma pan odpowiedź, rzekła. Ale nie ode mnie. Jeszcze ktoś inny czeka na odpowiedź. Musi się pan zatem uzbroić w cierpliwość”. Mary Tamlin rzuciła Jean zaintrygowane spojrzenie. Ty pewnie wiesz, do kogo odnosiła się ta aluzja.

- Ja? - Jean zachowała się tak, jakby nie usłyszała pytania.

- I to wszystko? Nic więcej pani nie usłyszała?

- Niewiele. Widziałam, jak pan Regan trochę niezadowolony potrząsnął głową, a potem twoja babka powiedziała podniesionym głosem: „Otrzyma pan odpowiedź,

kiedy wróci moja wnuczka'¹. Potem pan Regan uklonił się i wyszedł.

Schodząc kamienistą, stromą ścieżką ku morzu, Jean czuła, że nogi ma jak z waty. Jakby ktoś zadał jej cios na tyle silny, żeby pozbawić ją równowagi. Nawet wzrok miała zamglony, kontury rzeczy wydawały się jej dziwnie zamglone, jakby to wszystko tylko jej się śniło. Jeszcze tak niedawno pytała Dominica: "Czyżby znał pan moich krewnych?"

„Może nawet lepiej niż pani sądzi...”

Jean oparła się o żelazną balustradę mola. Spoglądała na morze, którego fale, gnane ostrym wiatrem, rozbijały się o skały. Fala przybojowa toczyła się ku skale, cofała spieniona, by znów zaatakować ze wzmożoną siłą.

Wpatrując się w kipieli wzburzonego morza, Jean doznała zawrotu głowy. A więc Dominic Regan przez cały czas o mnie wiedział! Powoli oswajała się z tą myślą, zmierzając nieśpiesznym krokiem w kierunku domu Nicoli Sharp. I, co dziwne, nie było w tej myśli nic niepokojącego.

A zatem Sara Laird obiecała mu coś, co wiązało się z jej obecnością w Anglii. „Otrzyma pan odpowiedź, kiedy wróci moja wnuczka”.

Bez względu na to, jaki sens miały jej słowa, Jean nawet nie próbowała się tego domyślać. Sara Laird uzależniła swoją obietnicę właśnie od niej, od Jean. A przecież umierający człowiek nie rzuca słów na wiatr.

Tak więc kluczem do tajemnicy była ona sama.

Czy dziś wieczorem Dominic opowie jej, czego dowiedział się od babki? Czy też znów będzie ją obrzucał tym rozbawionym spojrzeniem i milczał?

Teraz się okazało, że nie na darmo zapakowała elegancką sukienkę z purpurowego jedwabiu. Bardzo zadowolona ze swojego wyglądu określiła się przed lustrem. Wkrótce potem

usłyszała, jak przed dom zajechał samochód Dominica i Nicola zaprosiła go do salonu.

Jean sama była zaskoczona, że nagle zapłonęły jej policzki. Za chwilę stanie przed mężczyzną, który wbrew wszelkiemu rozsądkowi nie był jej obojętny, choć przecież niemal wcale go nie знаła.

Jean zagryzła wargi. Dominic nie może zauważyć, jak bardzo się cieszy, że idzie z nim potańczyć. Obawiała się, że znów zobaczy ten drwiący błysk w jego oczach.

Przypomniała sobie, jak mocno zacisnął wargi, gdy kazał jej wysiąść z samochodu i zmierzyć się z własnym strachem. Kiedy jednak trzymał jej przegub w żelaznym uchwycie, oprócz lęku odczuwała jeszcze coś innego. Miała wrażenie, że popełnia jakąś zdradę, ale jego dotyk wprowadził ją w podniecenie i rozbudził dotychczas nieznane, jakby drzemiące w niej uczucia.

Dominic nie taił swojego podziwu, gdy Jean weszła do pokoju Nicoli. Na jej widok podniósł się z fotela, jak zawsze sprężysty i silny. Głową niemal dotykał niskiej powały. Kiedy celebrował elegancki pocałunek w rękę, Jean lekko się zarumieniła, upłynęło bowiem sporo czasu od chwili, gdy jakiś mężczyzna tak wyraźnie dał jej do zrozumienia, że uważa ją za ogromnie pociągającą.

Dominic przyglądał się jej spod przymkniętych powiek, z głową lekko przechyloną na bok.

- Wygląda pani jak morze - rzekł rozmarzonym głosem - na które pada pierwszy promień słońca. Spokojnie, cudownie, ale tajemniczo i kusząco.

Śmiech Nicoli wybawił Jean z zakłopotania.

- Powinieneś być zostać poetą, Dominicu. Ale on ma rację, Jean. Wyglądasz prześlicznie.

- Zachwycająco - przytaknął Dominic, ujmując Jean za rękę, by zaprowadzić ją do samochodu.

Nie czekała ich długa droga. Country Club mieścił się w dawnym dworze blisko Saltcreek. Zjedli kolację w przyjemnej jadalni.

- Zatańczy pani? - spytał później Dominic, ona zaś skinęła głową. Zareagowała trochę nerwowo, gdy objął ją ramieniem. Kiedyż to ostatni raz tańczyła? Malcolm nie znosił zabaw tanecznych. Mawiał, że ma dwie lewe nogi.

- Teraz podobasz mi się najbardziej - szepnął jej do ucha Dominic, gdy poruszali się w takt powolnego walca. Przyciskał ją do siebie czule i jednocześnie mocno.

Na parkiecie wirowało jeszcze sporo innych par. Poruszają się jak we śnie, pomyślała Jean, gdy przesuwali się obok wielkiego lustra, w którym jej sukienka wyglądała jak zwiewny obłok purpury.

Jej spojrzenie prześlizgnęło się w stronę wysokich drzwi, które prowadziły na taras. Stał w nich młody, ciemnowłosy mężczyzna w smokingu. Zatrzymała się gwałtownie i wlepiła wzrok w zjawę w drzwiach.

- Peter!

Zaskoczony Dominic podniósł głowę.

- Co pani powiedziała?

Tym razem nie mogła pozwolić, by Peter zniknął jej z oczu. Wyrwała się z objęć Dominica i rzuciła do drzwi. Musiała wyminąć kilka par i odprowadziło ją wiele zdumionych spojrzeń, nim przebiegła cały parkiet. Była już przy drzwiach tarasowych.

Pusto! Znów jej umknął!

Na słabo oświetlonym tarasie dostrzegła kilka młodocianych par, które zlustrowały ją z zaciekawionym wzrokiem.

Rozglądając się rozpaczliwie na wszystkie strony, Jean usłyszała warkot ruszającego z miejsca samochodu. Przypomniała sobie, że parking znajduje się po prawej stronie.

Potyając się na nierównej drodze pobięła w kierunku, z którego dobiegał warkot silnika. Bieęła tak, jakby stawką było jej własne życie.

W końcu dotarła do ciemnego parkingu. Prysnał żwir i biały sportowy wóz oddalił się w szaleńczym tempie przez wysadzany drzewami podjazd.

- Och, Peter, Peter, dlaczegoś na mnie nie zaczekał? - szepnęła w ciszy nocy.

Od strony parkingu wyłonił się mężczyzna w stroju wieczorowym i spytał ją uprzejmie:

- Czy pani kogoś szuka, panno Laird?

Jean poczuła, że serca zamiera jej ze strachu. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w zimne oczy George'a Russela.

Rozdział 5

- Co pan tu robi? - zdziwiła się Jean, gdy minęła pierwsza fala paniki.

George Russel zrobił zaskoczoną minę.

- O to samo mógłbym spytać panią, panno Laird.

- Ja... mieszkam w Saltcreek.

- Cóż za zbieg okoliczności! Zatrzymałem się w niewielkiej wiosce na wybrzeżu, oddalonej stąd zaledwie o kilka mil. W czasie wojny znajdowało się tam lotnisko. - Russel wyciągnął z kieszeni papierośnicę i podsunął ją uprzejmym gestem Jean. Kiedy odmówiła, zapytał: - Niestety, minęła się pani ze znajomym. Czy to był młody, ciemnowłosy mężczyzna?

- Mój kuzyn.

Jean odzyskała równowagę ducha. Teraz czujnie wsłuchiwała się w każde słowo i obserwowała każdy ruch George'a Russela.

Przecież to nie mógł być przypadek, że tu się pojawił. Albo jechał za nią, kiedy wioził ją tutaj Dominic, albo już wcześniej wiedział, gdzie miała być dziś wieczorem.

- Co pana sprowadza w te okolice, panie Russel?

- Starzy przyjaciele - odrzekł bez namysłu. - Kiedy tu stacjonowałem, zawarłem sporo znajomości. Wracam tu od czasu do czasu, żeby odświeżyć dawne wspomnienia.

- Może znał pan również mojego wuja, Harveya Lairda?

- Kto wie - zastanowił się Russel. - Wówczas poznałem wielu ludzi. Czy był lotnikiem?

- Nie, służył na kontynencie. Russel potrząsnął głową.

- W takim razie nie sądzę, żeby nasze drogi kiedykolwiek się zeszły.

Obrzucił ją chłodnym spojrzeniem. Jean z trudem się pohamowała, żeby nie krzyknąć mu w twarz: „Niech pan mi

powie prawdę. Przecież śledzi mnie pan od samego początku".
Zamiast tego powiedziała:

- Życzę przyjemnego wieczoru, panie Russel.

Lekko skinęła mu głową, na co odpowiedział sztywnym ukłonem.

Na stopniach tarasu jeszcze raz obejrzała się za siebie. Wciąż stał na swoim miejscu i odprowadzał ją czujnym spojrzeniem. Trwał wśród zaparkowanych samochodów nieporuszenie jak posąg. Widok tej mrocznej, samotnej postaci przyprawił Jean o dreszcz.

Wahała się, czy ma wrócić do sali. Dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie swoje dziwne zachowanie. Już po raz drugi w mocno nietaktowny sposób opuściła Dominica Regana.

W tym momencie Dominic wyszedł jej naprzeciw.

Teraz musiała się skoncentrować. Musiała zdobyć się na jakieś wytłumaczenie, by nie dać mu okazji do czynienia jej wyrzutów. Na pewno był oburzony jej zachowaniem. Nagle ogarnęła ją ciekawość, jak on na to zareaguje.

Ale Dominic spytał tylko spokojnym tonem:

- I jak, Jean? Czy tym razem udało się pani złapać nieuchwytnego przyjaciela?

- Kuzyna - poprawiła go. - Niestety, nie. I mówiąc całkiem szczerze - dodała speszona - nie jestem nawet pewna, czy to naprawdę był on.

- To już drugi raz zostawiła mnie pani dziś samego - rzucił swobodnym tonem. - Wszyscy byli bardzo zdziwieni. Przyznam, że to nie jest przyjemne uczucie, gdy człowiek nagle zostaje na parkiecie bez partnerki.

- Ogromnie mi przykro. W tamtej chwili wcale o tym nie myślałam. Zobaczyłam Petera i po prostu chciałam się z nim spotkać.

- Najwidoczniej bardzo go pani kiedyś lubiła.

- Tak... to prawda - przyznała. Dominic przyjrzał się jej uważnie.

- Praktycznie rzecz biorąc wychowywaliśmy się razem - próbowała wyjaśnić. - W każde wakacje przyjeżdżaliśmy do naszej babki. Urządzaliśmy sobie wycieczki rowerowe, włączyliśmy się po plaży i oglądaliśmy zachody słońca. Wszystko robiliśmy wspólnie. Zawsze byliśmy razem, bo przecież nie mieliśmy innych przyjaciół.

- Może byśmy usiedli? - zaproponował Dominic i zaprowadził ją do osłoniętej ławki umieszczonej w niszy. Wygląda na to, że w dzieciństwie była pani bardzo samotna, prawda?

Nie spodziewała się takiego pytania.

- Nigdy dotąd tak na to nie patrzyłam. Może ma pan rację. Oczywiście, w każde wakacje rodzice wysyłali mnie do Saltcreek. Ale ja chętnie tam jeździłam, poza tym babcia bardzo mnie lubiła.

- Czy równie mocno lubiła pani kuzyna?

- Naturalnie. Podejmowała go z taką samą czułością i troskliwością. Dzięki temu tak często mogliśmy się widywać.

- Czy jest pani pewna, że po dziesięciu latach mogłaby go pani rozpoznać?

- Ależ oczywiście. Gdy wyjeżdżałam z rodzicami do Nowej Zelandii, miał prawie osiemnaście lat. Nie był już chłopcem. Na pewno aż tak bardzo się nie zmienił.

- Ale nie jest wykluczone, że on pani nie poznaje. Pomiedzy szesnastym a dwudziestym piątym rokiem życia wygląd dziewczyny może się bardzo zmienić - stwierdził Dominic. - Czy on w ogóle wie, że pani jest w Anglii?

- Nie sędzę. Nie mogłam do niego napisać, ponieważ nie znam jego adresu. Wysłałam natomiast list na adres jego adwokata, ale do tej pory nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

- Ach, tak. I nie ma go również w „Sea Cottage”?

- W domu zwykle jest ciemno. Pani Sharp mówiła, że Peter bywa tylko w weekendy, a i to nie zawsze.

Dominic wstał z ławki i wyciągnął ku niej rękę.

- Robi się zimno. Może wejdziemy do środka? Najchętniej poprosiłaby go, żeby odwiózł ją do domu.

Chciała być teraz sama, żeby w całkowitym spokoju pomyśleć o Peterze.

Czy rzeczywiście go widziała, czy też może padła ofiarą złudzenia? A jeśli to był Peter, to dlaczego przed nią uciekł? A może po prostu za każdym razem postanawiał odejść akurat w chwili, gdy się do niego zbliżała?

Na taras wyszła smukła, ciemnowłosa dziewczyna, a za nią elegancko ubrany mężczyzna, w którym Jean od razu rozpoznała Donalda Carfaxa.

- Jak to miło znów panią spotkać, panno Laird. Dobry wieczór! A oto i pan Regan, nieprawdaż? Chodź, Marion, pozwól, że cię przedstawię.

Jean stwierdziła, że Marion jest od niej trochę młodsza. Miała na sobie mocno wydekoltowaną suknię wieczorową z bordowego aksamitu. Nie ulegało wątpliwości, Marion wyglądała super. Jej ciemne włosy lśniły niczym świeżo polakierowane i związane były na karku w gruby węzeł.

Uwagi Jean nie uszło pełne podziwu spojrzenie Dominica, gdy Donald Carfax przedstawiał im swoją córkę.

- A to jest bratanica Harveya Lairda, o której ci już mówiłem - wyjaśnił córce Carfax.

Dziewczyna obdarzyła ich promiennym uśmiechem.

- Ojciec bez przerwy opowiada tylko o Harveyu Lairdzie - powiedziała. - Można by pomyśleć, że to był jego jedyny przyjaciel.

- Bo tak rzeczywiście było - uśmiechnął się Carfax. - Jean z pewnością przyzna mi rację, jeśli powiem, że Harvey

miał wyjątkowy charakter. Pan pewnie go nie znalazł? - zwrócił się do Dominica.

- Dopiero od niedawna mieszkam w Saltcreek, a wkrótce znów stąd wyjadę.

- Czy przypadkiem nie widziałem pana w antykwariacie, nad którego drzwiami wisi szyld z galeonem? - zapytał Carfax. - Dawniej mieścił się tam zajazd. Kupiłem w tym sklepie piękny egzemplarz miśnieńskiej porcelany. Gdzie się właściwie podziewa panna Standish?

- Urlop - lakonicznie odparł Dominic. Jean spostrzegła, że całą swoją uwagę skupił na Marion, co wprawilo ją w lekką irytację,

- Dlatego właśnie byłem tak zaskoczony, gdy tamtego wieczoru kazała się pani podwieźć pod „Galeon” - opowiadał z uśmiechniętą miną Carfax. - Początkowo myślałem, że pani jest znajomą Ewy Standish. Nie potrafię zrozumieć - teraz zwrócił się do Dominica - dlaczego taka śliczna dziewczyna jeszcze nie wyszła za mąż.

- Prawdopodobnie nie może się zdecydować na wybranie jednego spośród tłumu wielbicieli - ironicznie odparł Dominic.

Marion roześmiała się radośnie.

- Chciałbym się kiedyś rozejrzeć w pańskim antykwariacie, panie Regan - rzekł Donald Carfax. - Czy mógłbym wkrótce do pana zajrzeć?

- Ależ naturalnie. W niedzielę pracuję do południa. Mam kilka wyjątkowych wyrobów ze srebra, które mogłyby pana zainteresować. Ale dlaczego nie wchodzimy do środka? Zaczyna się robić chłodno. Czy nie zechcieliby państwo przysiąść się do naszego stolika?

- Z największą przyjemnością - odrzekł Carfax, zanim Jean zdążyła cokolwiek wtrącić.

Nie chciała zostać ani chwili dłużej. Z całego serca pragnęła teraz samotności, dlatego wszelka błaha konwersacja musiała jej się wydawać nie do zniesienia.

Jeszcze raz chciała przeanalizować każdą chwilę, w której miała wrażenie, że zobaczyła swojego kuzyna Petera...

Dominic poprosił Marion do następnego tańca. Entuzjazm, z jakim Marion się zgodziła, wprowadził Jean w niemałą złość.

Kiedy z kolei Carfax poprosił Jean do tańca, wstała niechętnie i poruszała się w rytm muzyki jak lunatyczka. Donald Carfax prowadził ją po parkiecie trochę sztywno, ale całkiem poprawnie.

Myśli Jean bez przerwy obracały się wokół tych dręczących minut, kiedy jej się zdawało, że widzi Petera. Pojawiał się przed nią niczym cień, by potem, gdy chciała go dosięgnąć, w jednej sekundzie rozpląnąć się w powietrzu.

A może jednak się pomyliła? Cóż, w sali oświetlenie było przyćmione. Ale żeby jednego dnia aż dwa razy miała ulec złudzeniu?

A jeśli to był Peter, to czy wiedział, że ona jest w Saltcreek? Czy obawiał się ponownego spotkania, czy też może rację miał Dominic mówiąc, że Peter po prostu jej nie poznał?

W czasie tańca Jean rozglądała się po sali w nadziei, że może jej kuzyn znów gdzieś się pojawi. Widziała jednak tylko Dominica trzymającego w objęciach Marion i najwyraźniej pogrążonego w intymnej konwersacji. Jean nie potrafiła zrozumieć gwałtownej złości, jaka nią wstrząsała na widok tych dwojga.

Dominic wyglądał na człowieka, który doskonale się bawi. Uwagę skupił wyłącznie na Marion, która roztaczała przed nim cały swój czar i urok, tak bardzo przez mężczyzn ceniony u kobiet. Potem Jean przypomniała sobie, jak nagle wyrwała się z jego objęć, żeby pędem opuścić salę. Nic dziwnego,

pomyślała ze skruchą, że woli dziewczynę, która wcale nie zamierza dać mu tak haniebnego kosza.

- Byłem szczerze uradowany, znów panią widząc - usłyszała głos Carfaxa. Powinniśmy się częściej spotykać.

- Niestety, długo nie zabawię w Saltcreek - szorstko odparła Jean. - Za kilka dni wyjeżdżam.

- Wielka szkoda. Ale może pani jeszcze zmieni zdanie. Te okolice mają jesienią niezwykły urok. A my oboje związani jesteśmy przez znajomość z Harveyem Lairdem.

- Co pan chciał przez to powiedzieć? - spytała Jean zupełnie zaskoczona.

- Cóż, przecież pani jest jego bratanicą, a ja byłem z nim bardzo zaprzyjaźniony aż do jego śmierci.

- Ach, tak, rozumiem. Milczeli przez kilka minut, w końcu Jean odezwała się: - W ostatnim czasie dowiedziałam się kilku zadziwiających rzeczy o moim wuju. Czy pan wiedział, że on ukrywał w „Sea Cottage” skradzione przedmioty i że szukała ich policja?

- Cóż... słyszałem o tym - niechętnie przyznał Car - fax. - Harvey pisał mi o tym. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Harvey zawsze był otwarty na nowe przygody. Powtarzał, że ryzyko jest solą życia. Aż strach pomyśleć, co wyprawiał w wojsku. Jeśli potrzebny był oddział straceńców, Harvey zawsze zgłaszał się na ochotnika.

- Czy policja wszystko odnalazła? - przerwała mu Jean.

- Nie mam pojęcia. Ale właściwie czemu nie? - W głosie Carfaxa zabrzmiał ton ostrożności. - Pisał, że przewrócili „Sea Cottage” do góry nogami, szukając oczywiście starych skrytek przemytniczych. Przypuszczam, że pani je знаła?

- Kilka tak.

- Nie wszystkie? - Te słowa zabrzmiały dziwnie ostro, ale Carfax natychmiast się opanował. Roześmiał się trochę

sztucznie. - Ale teraz to i tak już stara sprawa. Przecież nikt nie pamięta tych historii z przeszłości.

Muzyka umilkła. Carfax zaprowadził Jean do Marion i Dominica, zatopionych w ożywionej rozmowie. Wkrótce potem Jean z ulgą przyjęła propozycję Dominica, który obiecał odwiedzić ją do domu, i pożegnała się z ojcem i córką.

Siedząc obok Dominica w samochodzie, Jean czuła się przygnębiona i rozdrażniona. Wieczór, który zaczął się tak obiecująco, zakończył się dla niej zgrzytem i uczuciem pustki.

Przez dobrą chwilę jechali w milczeniu. Wreszcie Dominic spytał:

- Dobrze odegrałem swoją rolę, nie sądzi pani?

- O jakiej roli pan mówi? Nie rozumiem. Teraz Dominic był zaskoczony.

- Przez cały czas myślałem, że chciała pani spokojnie porozmawiać z Carfaxem o swoim wuju. Dlatego właśnie zająłem się Marion.

- Ach, to pan miał na myśli. - Jean najwyraźniej pomyliła się, posądzając Dominica o nieuprzejmość. - Dzięki. To bardzo rozsądne z pańskiej strony, ale szczerze mówiąc, w ogóle nie mam już ochoty rozmawiać o wuju Harveyu.

- Naprawdę? Zdaje się, że był to człowiek godny uwagi.

- Możliwe. Ale był to również skończony łajdak - zdecydowanie odparła Jean. - Pamiętam, jak kiedyś mój ojciec nazwał go czarną owcą naszej rodziny. Wówczas mu nie uwierzyłam: wuja Harveya widziałam oczami dziecka.

- Czy teraz czuje się pani rozczarowana?

- Właściwie nie mam powodu, żeby tak się czuć. Harvey i jego ciemne sprawy należą do przeszłości. Może o tym pan myślał mówiąc, że nie powinnam przywiązywać się wyłącznie do przeszłości. Powoli uświadamiam sobie, że miał pan rację.

Dominic nic na to nie odrzekł. Jean pomyślała przez chwilę o Sarze Laird, która nigdy nie mówiła o swoim

najstarszym synu ani dobrze, ani źle. To była sprawa Harveya, jeśli wałęsał się po wsi, niekiedy sprzedawał obraz, od czasu do czasu przewiózł kuracjuszy swoją łodzią, a potem całe pieniądze natychmiast zostawiał w „Galeonie”. Ale Sara Laird była kobietą uczciwą i szczerą, dlatego też musiało ją dręczyć to, że mieszkała w tak niewielkiej społeczności, w której każdy krok jej lekkomyślnego syna mógł być śledzony.

Czy kiedyś wybaczyła mu jego występki? Tego Jean nie wiedziała. Babka uczyniła wszystko, co było w jej mocy, żeby dobrze wychować Petera, a ten w końcu ją opuścił. Nawet nie zdobył się na odwiedziny, kiedy była samotna i obłożnie chora.

Ale przecież to zupełnie niepodobne do Petera, pomyślała zdruzgotana Jean. W dawnych czasach wydawał się ją uwielbiać. Co się stało, że zmienił się do tego stopnia? Czego domagał się od babki? Dlaczego nie chciała mu tego dać, ryzykując nawet to, że go utraci?

Przejeżdżali już obok pierwszych domów w Saltcreek. Dominic zatrzymał się przed „Galeonem”.

- Czy nie przeszkadzałoby pani, gdybyśmy dalej poszli pieszo? Droga przed domem Nicoli jest bardzo wąska, nie chciałbym więc wracać na wstecznym biegu.

- Nic nie szkodzi. Przecież mam na sobie płaszcz.

Jean wysiadła i zaczęła chwilę na Dominica, który zamykał drzwi samochodu. Odrzuciła głowę do tyłu i przyglądała się staremu szyldowi gospody z galeonem pod pełnymi żaglami.

- Piękny stary szyld, prawda? Czy zauważyła pani, że jest oszklony? Prawdopodobnie dla ochrony przed wiatrem i deszczem.

- Wcale nie wygląda tak staro - stwierdziła Jean.

- Pewnie właśnie dlatego, że jest chroniony przed chłodem i wilgocią. Zaproponuję Ewie, żeby go sprzedała

jakiemuś bogatemu Amerykaninowi. Naturalnie, o ile ktoś taki miałby kiedyś zabłądzić do Saltcreek.

- Powinna porozmawiać z George'em Russelem - mruknęła Jean, ale zdawało się, że Dominic jej nie usłyszał. - Kto to właściwie jest ta Ewa Standish? - spytała nagle. Dominic z uśmiechem wziął ją pod ramię i ruszyli w kierunku domu Nicoli.

- Kupiła „Galeon” i zrobiła z niego sklep z antykami - odparł. - W tej chwili spędza urlop u mojej matki we Francji.

- A więc jest pan Francuzem? A ja cały czas myślałam...

- Tylko ze strony matki. Ojciec był Anglikiem. Pobrali się podczas wojny - mówił Dominic. - Moi dziadkowie posiadali we Francji wielki dom, a po śmierci ojca matka do nich wróciła. Ja czuję się u siebie zarówno w Anglii, jak i we Francji. To bardzo praktyczne. Ewa i ja znakomicie się uzupełniamy.

Ewa i ja... Słyszając to, Jean poczuła ukłucie w sercu.

Od razu powinnam się była tego domyślić, pomyślała ze złością, idąc obok Dominica ciemną, wyboistą uliczką. Przecież to jasne, że ona coś dla niego znaczy. Sam sposób, w jaki o niej mówi...

Jeszcze bardziej zirytowała się, gdy w zamyśleniu potknęła się o spory kamień.

- Ostrożnie - upomniał ją Dominic, mocniej ściskając jej ramię. - Zapomniałem, że pani buciki nie nadają się na takie spacerunki, ale lubię się przechadzać nocą nad morzem. Wszystko jest wtedy takie ciche i tajemnicze. Choć oczywiście najprzyjemniej jest wówczas, gdy spaceruje się z kimś, z kim dobrze się rozmawia.

A więc tym dla niego jestem: partnerem do rozmów, zabawką, pomyślała przygnębiona Jean. Tymczasem Dominic z rozmarzoną miną spoglądał na spowite mrokiem morze.

Nagle zaczęła dygotać z zimna. Przed domem Nicoli zwróciła się do Dominica:

- Dziękuję za miły wieczór - powiedziała bezbarwnym głosem. - Bardzo mi się podobało w tym klubie.

W jego oczach znów pojawiły się błyski rozbawienia, usta zaś rozciągnęły się w uśmiechu.

- Ależ pięknie pani to powiedziała!

Co za bezczelny facet, pomyślała rozgniewana Jean. Teraz jeszcze się ze mnie naśmiewa!

Zanim jednak zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Dominic pochylił się nad nią. Pochwyciła spojrzenie jego oczu, w których odbijało się ciemne, kuszące morze. Wargi Dominica spoczęły na jej ustach. Przycisnął ją do siebie tak mocno, że niemal straciła oddech.

Namiętność rozpałała się w niej nagle jak dziki płomień. Sama była zdumiona tym raptownym wybuchem uczuć, które ją porwały i niosły niby mroczny, groźny strumień.

Dominic całował ją namiętnie, pożądliwie, a jednocześnie delikatnie i czule. Wargami pieścił jej skórę i włosy. Pocałunki Dominica paliły jej usta ogniem.

Kiedy ją w końcu wypuścił z objęć, twarz jego miała wyraz, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Otworzył drzwi domu i zawołał w głąb sieni:

- Nicola, odprowadziłem ci pannę Laird. - Rzucając drwiące spojrzenie na Jean, dodał: - Całą i zdrową.

- Już idę, Dominicu, już idę - odpowiedział mu dźwięczny głos.

Jean zdążyła się już opanować, nim stanęła naprzeciw Nicoli. Ona i Dominic oddalili się w przeciwnych kierunkach...

Z nieobecny wyrazem twarzy Jean zapewniła Nicolę, że dobrze się bawiła. Oświadczyła, że jest śmiertelnie zmęczona i od razu chce się położyć do łóżka.

Rozebrała się jakby pogrążona we śnie i wsunęła się pod ciepłą kołdrę. Kiedy jednak zgasiła światło, długo nie mogła zasnąć.

Dominic ją całował. Namiętnie i pożądliwie, jakby szukał czegoś więcej, niż tylko przelotnego flirtu. Jej ciało zadrżało na wspomnienie gwałtownych uścisków, i Jean wiedziała, że gdyby tylko Dominic tego zażądał, oddałaby mu się cała...

Ale to przecież niemożliwe, żeby on mnie kochał... Wykluczone. Nigdy nie czułam czegoś takiego przy Malcolmie, ani przy żadnym innym mężczyźnie. Ta wzbierająca fala namiętności, to uczucie, że ulatuje się na ognistych skrzydłach - czy to była miłość, o której marzyli poeci?

Ogarnięta nagłym niepokojem, Jean wstała z łóżka i podeszła do okna. Przytknęła rozpalone czoło do chłodnej, ciemnej szyby. Niczym twierdza z pradawnych czasów klif wznosił się na tle rozgwieżdżonego nieba. Na górze, ponad mrocznym morzem zamigotało światło, jak blask latarni morskiej.

Ktoś był w „Sea Cottage”!

Jean widziała, jak niewyraźna postać mężczyzny zbliżyła się do rozświetlonego czworoboku i zaciągnęła zasłony, które spotkały się pośrodku okna. Światło zniknęło.

Stojąc przy oknie z bijącym sercem, Jean uświadomiła sobie, że Peter Laird powrócił do „Sea Cottage”.

Rozdział 6

Z „Galeonu” wyszło dwóch klientów, jeden z dużym miedzianym dzbanem, drugi z miedzianą tacą. Dominic najwyraźniej robił dobre interesy. Wchodząc do środka, Jean usłyszała głosy.

- Czy dobrze to robię, Dominicu?

- Doskonale. Proszę go trzymać tuż pod oczami, żeby ponad brzegiem mogła pani flirtować ze swoimi wielbicielami.

Marion Carfax, ubrana w biały płaszcz, zasłaniała twarz kolorowym wachlarzem. Jej ciemne oczy rzucały Dominicowi filuternie zalotne spojrzenia.

- Czarująco! - uśmiechnął się Dominic. - Czasami się zastanawiam, dlaczego wachlarze wyszły z mody. Oczy potrafią wyrazić sto razy więcej, niż mają odwagę wymówić usta nieśmiałej kobiety.

Oboje podnieśli wzrok, słysząc kroki Jean, która przystanęła w drzwiach, czując się jak niepożądany intruz. Właściwie wcale nie zamierzała tu przychodzić, ale dręczyło ją pewne pytanie, na które najlepiej umiałby odpowiedzieć Dominic.

- Dominic pokazuje mi właśnie ten cudowny wachlarz - powiedziała Marion, rozkładając wachlarz, żeby pokazać delikatne zdobienie przedniej strony. - Czyż on nie jest śliczny? Poproszę ojca, żeby mi go kupił na urodziny.

- Byłbym szczęśliwy wiedząc, że trafił w ręce kobiety, która potrafi docenić swoją urodę - uśmiechnął się Dominic. - Kto wie? Może w ten sposób pobudzi pani tę uroczą modę do nowego życia?

Jean miała wrażenie, że jest tu całkowicie zbędna, kiedy tak stała przysłuchując się niesłychanie uprzejmej rozmowie Dominica z ciemnowłosą dziewczyną. Najchętniej odwróciłaby się na pięcie i wyszła.

- Zapakuję ten wachlarz, a pani pokaże go w domu swojemu ojcu - zaproponował Dominic. - Tak łatwo nie wypuszczam z rąk ewentualnych klientów.

- Wielkie dzięki! - Marion wzięła paczuszkę. - Proszę do nas dzisiaj wpaść na herbatę. I pani oczywiście również, Jean, jeśli będzie pani miała ochotę.

- Niestety, nie mam czasu - Jean odpowiedziała bardziej nieuprzejmie niż zamierzała.

- A pan, Dominicu? - spytała Marion. Jej czarne oczy załśniły. Dominic z ubolewaniem potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nie mogę przyjąć zaproszenia. Dziś po południu muszę pojechać do stałego klienta i zawieźć mu srebrny serwis.

- Szkoda. - Marion była naprawdę rozczarowana. Ale gdyby pan wrócił wcześniej, to jednak mógłby pan do nas wpaść.

- Postaram się - powiedział Dominic lekko dotykając ręką jej ramienia, jakby chciał ją pocieszyć.

Jakaż ja jestem głupia, żeby tu tak wystawać, pomyślała Jean. Ale pytanie, które nie dawało jej spokoju, domagało się odpowiedzi. Poczekala więc, aż Dominic odprowadzi Marion do wyjścia i wróci.

- Czy mogę ci w czymś pomóc, Jean? - zapytał uprzejmie.

- Orientujesz się, czy w Winton jest jakiś sklep z antykami?

- Nie, nie ma żadnego - odparł bez wahania, zbierając pozostałe wachlarze.

- Ale przynajmniej jeden musi być!

- W Winton jest tylko handlarz starzyzną, to wszystko.

- Jesteś całkiem pewny? - dopytywała się z lękiem. Dominic na chwilę przerwał pracę i zastanowił się.

- Możliwe, że się mylę - przyznał. - Czy to takie istotne? Chcesz tam coś kupić?

- Peter mówił mi, że wszystkie rzeczy po babci sprzedał antykwariuszowi z Winton.

- Mam dla ciebie propozycję - rzekł Dominic. - Kiedy już dostarczę ten srebrny serwis, pojedziemy do Winton. To nie tak daleko. Pojedź ze mną, a sama będziesz się mogła przekonać.

- A twój sklep?

- W niedzielę po południu zawsze jest zamknięty. Jadłaś już obiad? No, to od razu możemy pojechać. Tylko zamknę sklep.

Dominic ma bardzo praktyczne podejście do życia, pomyślała Jean, gdy w kilka minut później ruszyli w drogę. Szybko podejmował decyzje. Nawet nie dyskutował z nią o istnieniu sklepu antykwarycznego w Winton, tylko natychmiast rozsądnie zaproponował, żeby zbadać sprawę na miejscu.

Przez cały czas dręczyła ją niepewność. Co będzie, jeśli Peter skłamał, i sklep antykwaryczny okaże się szopą handlarza starzyzną? Ale po co miałby zmyślać całą tę historię? Jean bała się, że tłumaczenie Petera okaże się kłamstwem. Bezsensownym kłamstwem.

Ale jeszcze inna sprawa zaprzętała jej myśli. Nie mogła zapomnieć ostatnich słów Petera. Czy marynarski kuferek rzeczywiście krył w sobie klejnoty warte majątek?

- Jak to miło, że w końcu spotkałaś swojego kuzyna - przerwał milczenie Dominic. - Czy ucieszył się, że znów cię widzi?

- Tak - bardzo zdecydowanie odparła Jean.

- Wyjaśnił, dlaczego wczoraj bawił się z tobą w chowanego?

Dominic wjechał w tak ostry zakręt, że Jean mimowolnie musiała się o niego oprzeć.

- Wcale nie bawił się ze mną w chowanego - odparła poirytowana. - Nawet nie wiedział, że jestem w Anglii.

- W takim razie musiał być bardzo zaskoczony, kiedy cię zobaczył... Peter jest przeczulony na punkcie swojego ojca. Wątpię jednak, by w Saltcreek tak wielu ludzi pamiętało jeszcze Harveya Lairda.

- Niektórzy tak. Mary, żona Josha Tamlina, opowiedziała mi o wielu sprawach, o których w ogóle nie wiedziałam. Potrafię zrozumieć rozgoryczenie Petera.

- Dlatego że Harvey Laird był łobuzem? - W głosie Dominica zabrzmiało rozbawienie. - Nie jesteśmy odpowiedzialni za grzechy naszych ojców. Mój stryjeczny pradziadek został powieszony za kradzież owiec. Mimo to nie cierpię na bezsenność.

Jean nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- No właśnie - stwierdził z zadowoleniem Dominic. - Powoli zaczynasz widzieć rzeczy w prawidłowej perspektywie. Najwyższy czas zostawić wujka Harveya w spokoju.

- To nie jest takie proste. Mam wrażenie, że podczas tamtej rewizji policja jednak coś przeoczyła. Wydaje się, że brakuje jakiegoś przedmiotu.

Mówiąc te słowa, kątem oka obserwowała Dominica. Była rozczarowana, ponieważ nie dostrzegła żadnej reakcji.

- W tamtych czasach mnóstwo ludzi straciło swoje najcenniejsze rzeczy - odrzekł. - Na przykład mój dziadek. Można by powiedzieć, że był prawdziwym znawcą sztuki. Kolekcjonował obrazy. Tuż przed wybuchem wojny nabył obraz, który uważał za zaginione arcydzieło Caravaggia. Czy to nazwisko coś ci mówi?

- Wiem tylko, że był Włochem, a jego dzieła warte są dzisiaj majątek.

- Właśnie. Caravaggio zmarł w wieku trzydziestu siedmiu lat, ale już za życia był sławny. Dotychczas niewiele z przypisywanych mu obrazów uznano za autentyczne, możesz więc sobie wyobrazić, jak bardzo podekscytowany był swoim odkryciem dziadek.

- Czy później sprzedał ten obraz?

- Skądże znowu! Moi dziadkowie mieszkali w pobliżu granicy francusko - niemieckiej. Na tym terenie toczyły się najcięższe walki. Najpierw okupowali zamek Niemcy. Ogólnie rzecz biorąc, zachowywali się nawet dość przyzwoicie, potem wyparli ich stamtąd alianci.

- Właśnie w tej części Francji stacjonował oddział wuja Harveya - wtrąciła Jean.

- Naprawdę? Cóż, dziadek i babcia już nie żyją. Dziadek nie zdążył ukryć obrazów w bezpiecznym miejscu, a kiedy wojna się skończyła, brakowało kilku najcenniejszych egzemplarzy z jego kolekcji.

- To okropne! Czy udało się je odzyskać?

- Tak... oprócz jednego. I to właśnie był Caravaggio.

- Może zabrali go Niemcy? - podsunęła Jean.

- Trudno tego dowieść. Wrogie oddziały przesuwały się raz w jedną, raz w drugą stronę, a w czasie nalotów bombowych dziadkowie ukrywali się w piwnicach. Nie mieli pojęcia, kto mógł ukraść obraz. Dziś zapłacono by za niego sześciocyfrową sumę. Dziadek do śmierci nie mógł przeboleć tej straty.

Jean milczała. Dopiero teraz uświadomiła sobie uczucia ludzi z domów plądrowanych między innymi przez wuja Harveya.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się nagle Dominic. Samochód zatrzymał się przed pięknym, starym domem, położonym za wsią. - W schowku znajdziesz atlas

samochodowy. Sprawdź, proszę, jak najłatwiej możemy się dostać do Winton.

Dominic poszedł do tego domu niosąc starannie zapakowany serwis do herbaty, Jean tymczasem wzięła się do studiowania mapy. Stwierdziła, że do Winton najwygodniej można dojechać boczną szosą.

Po chwili Dominic wrócił.

- To był prezent na srebrne wesele - rzekł uruchamiając silnik. - To musi być piękne: dwadzieścia pięć lat wspólnego życia. W dzisiejszych czasach małżeństwa rzadko tak długo trwają. Kiedy oddawałem serwis, właśnie wznoszono toasty. „Za naszych rodziców, niech ich Bóg błogosławi...” Mam nadzieję - powiedział w zamyśleniu Dominic - że moje dzieci też kiedyś będą piły za zdrowie moje i mojej żony.

- A więc zamierzasz się ożenić? - spytała Jean.

- Oczywiście, A ty nie chcesz wyjść za mąż? Jean nie odpowiedziała. Po przyszłości nie mogła się spodziewać niczego radosnego.

- Zaraz będziemy w Winton. - Głos Dominica wyrwał ją z rozmyślań. - Rozejrzyj się za czymś, co mogłoby przypominać sklep z antykami. W Winton jest w gruncie rzeczy tylko jedna ulica. Trudno więc cokolwiek przeoczyć.

Bardzo wolno jechali przez wieś. Jean uważnie przyglądała się domom. Rzeźnik, piekarnia, maciupka poczta. Ani śladu antykwariatu.

Przy wyjeździe ze wsi Dominic zjechał w wysadzaną żywopłotem drogę, przy której stał szylt:

„Towary używane wszelkiego rodzaju”.

Droga kończyła się na dużym podwórku, otoczonym kilkoma szopami. Wrota stały otworem, tak że można było zobaczyć stare meble, narzędzia ogrodnicze i szmaty. Pana Smitha, właściciela interesu, spokojnie można było określić jako handlarza starzyzną.

Na podwórzu pojawił się krępy mężczyzna z podwiniętymi rękawami koszuli, więc Dominic zawołał:

- Czy możemy się tu trochę rozejrzeć?

- Proszę bardzo - odparł serdecznym tonem pan Smith. - Jeśli będę państwu potrzebny, wystarczy po prostu zawołać.

- Nie sędzę, żeby Peter mówił właśnie o tym - z przerażeniem stwierdziła Jean, wchodząc z Dominikiem do najbliższej szopy.

- Chyba jednak tak - zaproponował Dominic.

Stali pomiędzy nieforemnymi kredensami, pozbawionymi wyściełania krzesłami i niezgrabnymi sofami ze sterczącym końskim włosiem.

- Kto może kupować takie rupiecie! - zawołała z niedowierzaniem Jean.

- Zdziwiłabyś się - zapewnił ją Dominic. - Co tydzień przyjeżdża tutaj przynajmniej tuzin handlarzy antykami. Oczywiście, nikt tu nie będzie szukał komody w stylu chippendale czy autentycznego Rembrandta. Ale niektóre meble wykonano z drewna, które jest przydatne do odrestaurowania ich własnych rzadkich mebli.

Jean poszła za Dominikiem do następnej szopy. Nagle zawołała zaskoczona:

- Popatrz tutaj! - Podbiegła do masywnego stołu kuchennego, na którym stała piękna, zdobiona intarsjami szkatułka. Ujęła ją drżącymi rękami.

- To puzderko z przyborami do szycia należało do mojej babki - stwierdziła. Ze łzami w oczach gładziła roztrzaskane wieczko. - Popatrz tylko, ktoś wyłamał zawiasy.

- Pokaż mi to. Wprawdzie nie mam wielkich uzdolnień do majsterkowania, ale myślę, że mógłbym ci je naprawić.

Jean drżała na całym ciele, rozglądając się po zatechłej, zakurzonej szopie.

- Ależ tu są jeszcze inne rzeczy babci. I wszystkie zniszczone! Co ten okropny człowiek z nimi zrobił?

Ogarnęło ją uczucie bezsilnej wściekłości, kiedy uklękła przed zgrabną toaletką. Drzwiczki były powyrywane z zawiasów, a środek wyglądał tak, jakby ktoś dobrał się do niego z siekierą.

- Pójdę go spytać. - Dominic wyszedł na podwórze i przywołał właściciela. Ktoś odpowiedział i już po chwili w szopie zjawił się pan Smith.

Jean zaczęła na niego krzyczeć:

- Co pan zrobił z tymi pięknymi rzeczami?! Czy to było konieczne? Czy musiał je pan zniszczyć?

Ten wybuch wściekłości wprowadził mężczyznę w osłupienie.

- Mnie również szkoda tych pięknych rzeczy - zgodził się z Jean. - Serce mi krwawiło, kiedy ładowałem te szczątki na moją ciężarówkę.

Teraz wtrącił się Dominic.

- Czy to znaczy, że pan je kupił w takim stanie?

- Naturalnie - pan Smith skinął głową. - Przecież nawet nie starczyłoby mi czasu, żeby to wszystko porąbać. Kupiłem to w takim stanie, jak państwo widzicie.

Jean patrzyła na niego w osłupieniu. Przecież to nieprawdopodobne! Ten człowiek na pewno się mylił! Peter nie mógł być aż tak bezduszny!

- Ta pani chciałaby kupić to puzderko - powiedział Dominic.

- Proszę bardzo. Gdybyście państwo byli zainteresowani, to resztę rzeczy odbieram w przyszłym tygodniu.

- Będziemy o tym pamiętali...

Jean nie pamiętała później, jak doszła do samochodu. Zniszczoną pamiątkę po babce ścisnęła niby jakiś skarb.

Kiedy wreszcie otrząsnęła się z odrętwienia, jechali wysadzaną drzewami szosą, z której widać było morze.

Po pewnym czasie Dominic zaproponował, żeby wstąpili na herbatę do wiejskiej gospody.

- Jest wystarczająco ciepło, żeby usiąść na zewnątrz - powiedział, prowadząc Jean na taras.

Kiedy Dominic wszedł do środka, by zamówić herbatę, Jean przyglądała się pszczołom, brzęczącym wokół kwiatów, Dziwne, do jakiego stopnia potrafił ją uspokoić widok przyrody.

Dominic wrócił do stolika, wyciągnął przed siebie długie nogi i oznajmił wesoło:

- Za chwilę będzie herbata.

Powolnymi ruchami zapalił papierosa. Najwyraźniej nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy. To Jean dłużej już nie mogła znieść milczenia.

- Pewnie teraz uważasz, że jestem stuknięta.

- Dlaczego? Rzeczy dla wielu ludzi mają szczególną wartość. To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Niestety, nie każdy potrafi dostrzec.

- Dlaczego on to zrobił? To mi się nie mieści w głowie - powiedziała przygnębionym głosem.

- Może czegoś szukał.

- W takim razie musiało to być coś niezwykle cennego, jeśli zadał sobie tyle trudu - z goryczą zauważyła Jean.

- Tak... - Dominic zawahał się przez chwilę, potem jednak stwierdził: - Czasami ludzie się zmieniają. Siedemnastoletni chłopak i dorosły mężczyzna mogą być zupełnie różnymi ludźmi.

- Ale nie Peter. On nadal jest taki jak dawniej. Zmienił się równie mało jak ja.

- Czy jesteś tego pewna, Jean? Czy w ostatnich latach nie zdarzyło się nic, co wywołało w tobie gruntowną zmianę?

Spojrzenie jego oczu wprawiło ją w zakłopotanie. Jego bliskość jak zwykle działała na nią podniecająco.

- Ja... ja wciąż jestem taka sama - szepnęła. Ale wcale nie miała już takiej pewności.

Potem przyszła kelnerka z tacą i nakryła do stołu. Bułki z szynką, sałata i ciastka. Dzbanek herbaty dla dwóch osób.

- Czy to wszystko? - spytała wypisując rachunek. Jean nalała herbaty do filiżanek.

- Jedzenie na świeżym powietrzu zawsze przypomina mi dzieciństwo - uśmiechnął się Dominic.

- Mówisz tak, jakbyś był już siwym staruszkiem - zażartowała Jean. - Powiedz mi, czym ty się właściwie zajmujesz? Chodzi mi o twój zawód.

- Przecież wiesz, że pomagam handlować antykami.

- Ale to z pewnością nie wszystko.

- Jestem adwokatem.

Jean tak bardzo zaskoczyła ta odpowiedź, że odłożyła bułkę na talerz.

- Czym jesteś?

- Przecież już to powiedziałem.

- Bronisz w sprawach karnych?

- Moja praca nie jest aż tak ekscytująca. Zajmuję się przede wszystkim administrowaniem majątkami. Jestem współnikiem mojego wuja, który ma kancelarię adwokacką w Londynie.

- A co robisz w Saltcreek?

- Urlop. Zazwyczaj jesienią odwiedzam matkę we Francji. Chwilowo jednak zastępuję Ewę w jej sklepie.

Jean poczuła ukłucie zazdrości. Dominicowi bardzo musiało zależeć na tej dziewczynie. W przeciwnym razie nie spędzałby urlopu w takiej dziurze jak Saltcreek.

Jean nagle się wydało, że herbata jest bez smaku. W milczeniu skończyli posiłek. Najchętniej od razu wróciłyby do

domu. Ale Dominic pokazał jej wąską ścieżkę, wijącą się przez przyległy las.

- To cudowne miejsce na spacer. Nie miałabyś ochoty się przejść?

Wstała niechętnie, po czym wolnym krokiem ruszyła ścieżką, na której plamy cienia występowały na przemian z miejscami nasłonecznionymi.

- Zdaje się, że będziemy mieli mgłę - odezwała się Jean.

- Chyba tak, ale to długo nie potrwa. - W głosie Dominica zabrzmiała czułość. - Nie powinnaś widzieć tylko ciemnych stron życia, Jean. Nie chcę, żebyś czuła się nieszczęśliwa.

- Ja nie jestem nieszczęśliwa - odparła odrobinę za szybko.

- Dlaczego tak bardzo boisz się miłości?

- Ależ ja wcale się nie boję! - zawołała gniewnie, oczy jej zalsniły. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Jesteś śliczna, serce masz wolne. Dlaczego jeszcze nie znalazłaś odpowiedniego mężczyzny?

- Łatwo ci mówić. Brzmi to tak, jakbyś mówił o prawie majątkowym.

Dominic roześmiał się.

- Prawo to skomplikowana materia. Nigdy bym się nie ośmielił porównywać go z miłością. Wydaje mi się, że wciąż przed czymś uciekasz. Nie wierzysz w prawdziwą miłość?

- Wierzę. Ale trzeba czasu, żeby ją odnaleźć.

- A więc nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? Czy nigdy jeszcze ci się nie zdarzyło, że kogoś spotkałaś, a potem ani na chwilę nie mogłaś o nim przestać myśleć?

Jean wzruszyła ramionami.

- Istnieje miłość, która może trwać przez całe życie - odparła w końcu.

- Przeżyłaś taką miłość?

Nagle ujął ją za ramiona i obrócił ku sobie. Ustami przylgnął do jej warg, a wówczas Jean poczuła, że niebo i morze zaczęły wokół niej wirować. Wszystkimi zmysłami chłoneła jego dotyk, jego pocałunki paliły ją ogniem. Zanurzyła się w morzu błogości i pożądania.

Kiedy ją wypuścił z objęć, była tak oszołomiona, że się zatoczyła. To właśnie musi być miłość, pomyślała. Była zdumiona gwałtownością własnych uczuć. Wspomnienie Malcolma pojawiło się na chwilę w jej pamięci jak bładny cień i natychmiast rozpląnęło się w otchłani zapomnienia.

- Jean, najdroższa - szepnął Dominic. Jego głos docierał do jej świadomości jakby śniła. - Czy mam cię jutro zawieźć do Norchester? Chciałbym być przy tobie, kiedy będziesz odbierała spadek.

Wpatrzyła się weń nieruchomym wzrokiem, jakby nie rozumiała, co do niej powiedział.

- O co ci chodzi?

- Zgódź się, proszę. Pozwól mi być przy tobie. To bardzo wiele dla mnie znaczy.

- Więc i ty chciałbyś wiedzieć, co jest w kuferku Silasa Lairda - wyszeptała zdrętwiałymi wargami. - Do tego zmierzałeś od samego początku, prawda?

Dominic nic nie odpowiedział.

Znów obudziła się w niej dawna nieufność. Dopiero teraz zauważyła, że oddalili się spory kawałek od wsi.

Dookoła rozciągały się tylko rozległe, puste pola. Nikt nie usłyszałby jej krzyku.

Ale na razie w ogóle nie muszę się bać, pocieszyła się. Dopóki kuferki stoi zamknięty w kancelarii w Norchester, włos mi z głowy nie spadnie.

- Chciałabym już wrócić do domu - powiedziała unosząc podbródek. - Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Więc nie chcesz mnie wziąć z sobą?

- Mam inne plany.

Ze zdumieniem stwierdziła, że Dominic wygląda na zadowolonego.

- Masz rację - zgodził się - powinniśmy już wracać. Słońce zachodzi i, jak już powiedziałaś, na pewno będziemy mieli mgłę.

Jean najchętniej pojechałaby do domu autobusem, ale do Saltcreek mogła dotrzeć tylko samochodem Dominica. Jechał bardzo szybko, jakby i on nie mógł się już doczekać końca tej wycieczki.

Po lewej ręce Jean morze zasnute było mlecznobiałymi oparami mgły. Zachodzące słońce świeciło słabym, zimnym blaskiem. Zniknęły gdzieś ciepłe, słoneczne barwy jesieni.

Szary, monotony pejzaż zdawał się być lustrzanym odbiciem duszy Jean, która czuła się do głębi rozczarowana. Miała nadzieję, że Dominic naprawdę ją kocha, że jego uściski są szczerze. Ale on chciał ją tylko owinać sobie wokół palca. Przez cały czas zależało mu jedynie na tym, by wolno mu było spojrzeć na jej część spadku. Próbował ją zwieść pochlebstwami i sztuczkami zręcznego uwodziciela. Chciał zdobyć jej zaufanie.

W końcu samochód zatrzymał się przed domem Nicoli.

- Jean... - odezwał się Dominic proszącym tonem. - Ale ona wysiadła, zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu i weszła do domu, ani razu nie oglądając się za siebie.

- Miło spędziłaś czas? - zapytała ją Nicola. - Już się zaczynałam martwić. Znosi się na mgłę.

Jean poczuła się śmiertelnie zmęczona. Pragnęła tylko jednego - pójść do swojego pokoju i położyć się do łóżka. Mozolnie, jakby dźwigała na barkach ogromny ciężar, wspięła się po schodach.

Nawet nie chciało jej się zaciągnąć zasłon. Leżała na łóżku z otwartymi oczami przyglądając się, jak niebo

zabarwiło się najpierw na purpurowo, potem zaś poczerniało. Nie było widać gwiazd. Z wody powoli wznosiła się mgła, która napływała gęstymi kłęбами przed jej okno.

Jean zastanawiała się, czy nie powinna się rozebrać i ułożyć do snu. Dzisiaj tak czy inaczej nic już nie działa. W tym momencie przypomniała sobie puzderko z przyborami do szycia. Musiała je zostawić na tylnym siedzeniu samochodu.

Krew napłynęła jej do policzków, gdy pomyślała, że będzie musiała o nie poprosić Dominica. Ale jeśli zaparkował samochód na podwórzu za „Galeonem”, to może go nie zamknął. Wówczas mogłaby je po prostu zabrać.

Niewiele myśląc włożyła płaszcz i zbiegła ze schodów. W stołowym paliło się jeszcze światło. Jean usłyszała przestraszony okrzyk Nicoli:

- To ty, Jean? Chyba nie masz zamiaru wychodzić przy takiej pogodzie?

Ale ona była już na zewnątrz i szybko zamknęła za sobą drzwi. Schodząc pośpiesznym krokiem w dół opustoszałej ulicy czuła, jak wilgotna mgła oblepia jej nogi.

Wkrótce ujrzała szyld „Galeonu” oświetlony światłem latarni ulicznej. Przed domem stał jakiś samochód. Jean przystanąła niezdecydowanie. Z samochodu właśnie wysiadła młoda kobieta z walizką w ręce.

Drzwi otworzyły się i w jasnym czworoboku rozpoznała wysoką postać Dominica.

- Ewo, kochanie, skądżeś ty się tu wzięła? Spodziewałem się ciebie dopiero jutro wieczorem.

Jean nie zrozumiała odpowiedzi blondynki. Usłyszała jednak śmiech Dominica i widziała, jak schodzi ze schodów i serdecznie całuje Ewę w oba policzki. Wziął od niej walizkę, objął jej ramiona i razem weszli do środka, zatraskując za sobą drzwi.

Rozdział 7

Jean jeszcze długo leżała z otwartymi oczami, nim zapadła w głęboki sen. Rankiem obudziła ją Nicola, rozsuwając zasłony. Gęsta mgła unosiła się nad gładkim lustrem morza. Fale leniwie lizały brzeg.

- Dzisiaj będziesz rozpieszczana - uśmiechnęła się Nicola.
- Przyniosłam ci śniadanie do łóżka. Dochodzi jedenasta, ale w końcu masz wakacje. - Jedenasta? Tak długo spałam?

- Czemu nie miałabyś sobie pospać? Dziś i tak nie widać dalej niż na wyciągnięcie ręki. - Nicola spojrzała przez okno. - Obawiam się, że przez cały dzień się nie przejaśni.

Śniadanie pachniało wspaniale. Ale Jean bez większej ochoty pogryzała swoją grzanekę. Po prostu tego ranka nie miała apetytu.

Wychodząc Nicola jeszcze raz obróciła się w drzwiach.

- Ktoś już chciał się z tobą widzieć. Twój kuzyn Peter. Zamierzał odwieźć cię do kancelarii w Norchester.

- Peter?

- Powiedziałałam mu, żeby przyszedł po południu. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że cię nie obudziłam?

- Dobrze pani zrobiła. Dziękuję!

Jean z trudem przychodziło mówienie, ucieszyła się więc, gdy Nicola wreszcie zostawiła ją samą. Kawa trochę ją ożywiła, i wkrótce Jean z wielkim apetytem spałaszowała śniadanie.

Może przestanie mnie boleć głowa, pomyślała, jeśli się od razu ubiorę i przespaceruję po plaży. Mgła nigdy jej nie przeszkadzała. Nawet jeśli była wilgotna i lepka, to przecież Jean nadal poruszała się w swym małym, dobrze znanym świecie.

Wymknęła się z domu, kiedy Nicola wynosiła śmieci. Obawiała się, że jej strażniczka właśnie dziś nie będzie jej chciała spuścić z oczu, a teraz potrzebowała samotności.

Jej myśli nieustannie krążyły wokół Dominica, choć dobrze wiedziała, że nie dojdzie do żadnych wniosków. W tej chwili tak czy inaczej nie miało już znaczenia, co do niego czuła. Jego zachowanie poprzedniego wieczora pokazało jej aż nadto wyraźnie, że związany był z Ewą Standish.

A więc jednak miała rację - mamił ją miłością, ponieważ dążył do osiągnięcia konkretnego celu. Miała się w nim zakochać, miała być mu uległa, żeby później nie robiła żadnych problemów przy przekazywaniu spadku.

Najbardziej bolało ją to, że w gruncie rzeczy osiągnął swój cel. Palce jej wprawdzie zgrabiały od zimna, ale czoło zaczęło ją palić, gdy przypomniała sobie, jak uległa stała się pod wpływem jego pocałunków i topniała w jego objęciach niczym wosk.

Padła ofiarą własnych uczuć. Zdradliwe serce wydało ją na pastwę mężczyzny pozbawionego skrupułów. Prawdopodobnie teraz naśmiewał się z niej w towarzystwie Ewy Standish.

- Ostrożnie!

Pograżona w swoim nieszczęściu Jean zbyt późno się zorientowała, że ten okrzyk odnosił się właśnie do niej.

Kiedy jednak usłyszała drugie ostrzeżenie, nastawiła uszu i rozejrzała się dookoła.

Poprzez mgłę dostrzegła, jak wielkimi susami zbliża się do niej ogromny, kudłaty pies o złośliwym błysku w oczach. Rozwarty pysk odsłaniał dwa rzędy groźnie wyglądających kłów.

- Proszę się nie ruszać! - zawołał jakiś człowiek, gdy Jean odwróciła się, żeby uciec.

Pies lada moment miał ją zaatakować. Jean zdążyła tylko osłonić twarz ramieniem, gdy potężne zwierzę skoczyło na nią, jak wystrzelone z katapulty. Poczwała gwałtowne

szarpnięcie za rękaw, usłyszała odgłos rozdieranego materiału. Owionął ją smrodliwy oddech z pyska psa.

- Kim, zostaw! Powiedziałem, leżeć!

Pies natychmiast zostawił ją w spokoju i przysiadł na piasku. Po chwili z mgły wyłonił się Donald Carfax.

- Marsz do domu! - wrzasnął na psa, który od razu posłusznie wstał i oddalił się truchtem.

Carfax z zatroskaną miną zwrócił się do Jean, która pobladła i oszołomiona oglądała poszarpany rękaw.

- Jean, sam nie wiem, jak to się mogło stać. Co za diabeł wstąpił w tego psa? Zwykle jest bardzo posłuszny. Czy jest pani skaleczona?

- Nie, tylko płaszcz jest trochę porwany. - Jean miała nogi jak z waty. - Po prostu się na mnie rzucił, bez żadnego powodu.

- Nagle mi się wyrwał i w ogóle nie chciał mnie słuchać. - Carfax robił wrażenie zdenerwowanego. - Proszę wstąpić do mnie na kawę. Mieszkam dwa kroki stąd.

Jean ucieszyła się, że będzie mogła choć na chwilę usiąść. Atak tego wielkiego psa wywołał lekki szok. Donald Carfax wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę swojego domu."

Już po kilku minutach znaleźli się na miejscu. Jean znów zamarło serce, gdy na stopniach domu zobaczyła Kima, który na jej widok podniósł łeb.

- Proszę zaczekać - powiedział Carfax. - Zamknę Kima w kuchni.

Po chwili był już z powrotem.

- Teraz jest pani zupełnie bezpieczna - uśmiechnął się do niej. - Proszę wejść! Ależ pani jest blada jak ściana!

Jean z ulgą opadła na fotel. Na początek Carfax wmusił w nią kieliszek brandy. Potem poszedł do kuchni zrobić kawę. Nie trwało to długo. Wrócił niosąc na tacy filiżanki z kawą.

- Jeszcze trochę brandy? Nie? W takim razie proszę spróbować mojej kawy. Bez fałszywej skromności potrafię parzyć doskonałą kawę. Niestety, młodzi ludzie nie przepadają za prawdziwą mokką. Wystarcza im kawa w proszku. - Uśmiechnął się melancholijnie. - Może to wynika stąd, że żyjemy w świecie przedmiotów jednorazowego użytku. Gdybym miał dość pieniędzy, kupowałbym wyłącznie to, co najlepsze.

- Myślę, że każdy chciałby mieć więcej pieniędzy - zgodziła się Jean. - Kawa rzeczywiście jest wyborna. Od razu lepiej się poczułam.

- Bardzo się cieszę. Kim jest na mnie trochę zły, że zamknąłem go w kuchni. Pies często jest jedynym towarzyszem życia samotnego mężczyzny.

- Czy na dłuższą metę Saltcreek nie okaże się dla pana zbyt spokojne?

- Już teraz niekiedy to odczuwam. Dawniej sporo tu się działo. Kiedy byłem jeszcze chłopcem, przyjeżdżało tu mnóstwo turystów. Ale nic nie trwa wiecznie, prawda?

- Czy dobrze znał pan mojego wuja?

- Harvey był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Nie było między nami żadnych tajemnic. To był prawdziwy mężczyzna, zuchwały i szaleńczo odważny.

- Czy nie przeżył pan rozczarowania słysząc, że był także złodziejem?

Carfax uśmiechnął się zagadkowo.

- Nie miało to najmniejszego wpływu na naszą przyjaźń. Harvey po prostu lubił piękne rzeczy tak samo jak ja.

- Ale przecież nie wolno tak po prostu brać sobie tego, co się nam podoba.

W oczach Carfaksa pojawił się ciemny blask.

- To była zdobycz wojenna i nic więcej. Tak przynajmniej widział to Harvey. Za każdym razem, gdy wyjeżdżał na urlop do Anglii, zabierał to i owo. Zawsze powtarzał, że to jego zabezpieczenie na starość.

- Wuj Harvey był zwykłym nicponiem, to wszystko - gwałtownie odparła Jean.

- Nie posuwałbym się aż tak daleko. Zawsze uważałem go za człowieka nadzwyczaj sympatycznego. Wprawdzie pozbawiony był skrupułów, ale w końcu żyjemy w niedoskonałym świecie.

- Ten świat byłby doskonalszy, gdyby było mniej takich ludzi jak Harvey Laird.

- Szkoda, że tak słabo go pani pamięta. On wcale nie był taki zły. Bywał nawet bardzo hojny i chętnie pomagał innym.

Jean nic nie odpowiedziała. Donald Carfax aż tak bardzo nie mijał się z prawdą. Gdyby wuj Harvey był człowiekiem do gruntu złym, to z pewnością musiałyby to zauważyć nawet jako dziecko.

- Mam wrażenie, że w jakiś sposób powinienem zrekompensować pani tę nieprzyjemną historię z Kimem - odezwał się naraz Carfax. - Może mógłbym podwieźć panią samochodem do kancelarii w Norchester? To zaledwie godzina drogi.

- Jeszcze się nie zdecydowałam, kiedy pojedę do Norchester - odparła Jean nadmiernie obojętnym tonem. - Wydaje mi się, że wokół mojego spadku robi się zbyt wiele szumu. W końcu jeśli w tym marynarskim kufierku miałby być jakiś przedmiot, który należał do wuja Harveya, to musiałabym go oczywiście natychmiast przekazać policji.

- W takim razie dobrowolnie pozbyłaby się pani wielkiego majątku.

- Moja babcia zawsze powtarzała, że nie wolno kraść. Nigdy o tym nie zapominam.

- Więc jest pani aż tak uczciwa? - Carfax przyjrzał się jej spod przymrużonych powiek, jego oczy wyglądały teraz jak dwie szparki. Jean poczuła się nieswojo. Pomyślała o groźnym psie w kuchni obok, który już raz zaatakował ją bez powodu.

A może pies wykonał tylko polecenie swojego pana? Czy Donald Carfax poszczuła ją psem, kiedy ją zobaczył samotnie spacerującą po plaży? Czy świadomie zaaranżował tę sytuację, żeby porozmawiać z nią w cztery oczy? Może każdy pretekst był dla niego dobry, żeby tylko pojechać z nią do Norchester?

- Mój kuzyn zawiezie mnie do kancelarii - powiedziała wstrzymując oddech. - Chciał to zrobić już dzisiaj.

Miała wrażenie, że w jego oczach dostrzega błysk wściekłości.

- W takim razie nie powinienem chyba dłużej pani zatrzymywać. - Przy drzwiach jeszcze raz położył jej rękę na ramieniu. - Może mogłaby pani później do mnie wpaść i opowiedzieć, co było w kuferku. Bardzo mnie to interesuje.

- Oczywiście. Chętnie do pana zajrzę.

Jedyne, czego w tej chwili naprawdę chciała, to odejść Stąd jak najszybciej. Pod maską uprzejmości, jaką przywdziewał Carfax, dostrzegła człowieka, który przejmował ją ogromnym lękiem. Przemierzała ulice w gorączkowym pośpiechu. Ogarnął ją dręczący niepokój.

Zbyt wielka była jej niecierpliwość, żeby mogła czekać na Petera. Ale jak miała się zachować, gdyby pojawił się Dominic i próbował ją namówić, żeby pojechała z nim do Norchester?

Gdyby pojechała teraz, zaraz, mogłaby odebrać spadek, wsiąść do pierwszego pociągu do Londynu i kazać sobie przesłać bagaż.

Już wcześniej zauważyła w bocznej uliczce agencję wynajmującą samochody. Może namówi kogoś, żeby

podwiózł ją przynajmniej do stacji, dalej mogłaby pojechać pociągiem.

W torebce miała wszystkie dokumenty potwierdzające jej tożsamość. Nie było więc powodu dłużej zwlekać.

Jean prawie biegiem dotarła do 'warsztatu. Każdy cień wydawał się jej prześladowcą deptającym jej po piętach. W garażu ujrzała młodego człowieka pochylającego się nad otwartą maską silnika. Słyszając jej kroki, wyprostował się.

- Chciałabym... dojechać do stacji - wydyszała Jean. - Czy mógłby mnie pan tam zawieźć?

- Teraz? Przecież mgła jest gęsta jak mleko.

- Zapłacę podwójnie! - Jeśli ten człowiek się nie zgodzi, wpadnę w histerię, pomyślała.

- Dobrze - odrzekł mężczyzna wycierając ręce w szmatę. - Proszę wsiadać. - Mężczyzna otworzył tylne drzwi, i Jean z uczuciem wdzięczności wtuliła się w siedzenie. Miała ochotę uściskać tego młodego człowieka, który teraz zniknął w pakamerze na końcu garażu.

Czekając na jego powrót, Jean oglądała swoje odbicie w szybie, oddzielającej miejsce dla kierowcy od tylnego siedzenia. Wyglądała jak upiór, była blada, a pod oczami miała ciemne kręgi.

- Nie powinnam była tu wracać.

Przestraszyła się, słysząc swój głos. Ale mężczyzna, który właśnie usiadł za kierownicą, widocznie jej nie usłyszał. Ubrany był teraz w gruby płaszcz i czapkę z daszkiem. Kiedy samochód wytoczył się na główną uliczkę, która była ledwie widoczna we mgle, Jean poczuła niewymowną ulgę. Nareszcie była wolna! Nigdy więcej nie zobaczy Saltcreek...

Za szybą przemykały niewyraźnie zarysy domów. Po obu stronach drogi świat rozplątywał się za bezlistnymi krzewami i drzewami, które niby czarne szkielety wyciągały gałęzie ku niebu.

Samochód jechał coraz szybciej. Jean była zaskoczona, że kierowca nie boi się jechać z taką prędkością. Ale powiedziała sobie, że na pewno znał na pamięć każdy zakręt aż do stacji.

Przy odrobinie szczęścia jeszcze dziś wieczorem będzie mogła znaleźć się w Londynie. Przekazanie spadku chyba nie zajmie wiele czasu.

Za chwilę powinien się pokazać budynek stacji. Ale nie, teraz samochód skręcił w lewo, w wąską, boczną drogę. Okolica wyglądała niesamowicie. Wjechali w ostry zakręt, kierowca gwałtownie przyhamował. Jean przytrzymała się klamki. To zaczynało być niebezpieczne. Przy tak ograniczonej widoczności nie powinno się jeździć z taką szaleńczą szybkością.

Czy już dawno nie powinni byli dojechać do stacji? Z wysiłkiem wpatrzyła się w drogowskaz, który właśnie mijali. „Stacja kolejowa 4 mile” przeczytała na tablicy, wskazującej w przeciwnym kierunku.

- Stop! Pojechał pan za daleko - zawołała podnieconym głosem Jean, pukając w szklaną szybę.

Kierowca nie zareagował. Samochód wjechał w kałużę, wzbijając fontannę wody, która chlusnęła na szyby. Jean czuła, jak krew zastyga jej w żyłach.

- Proszę się zatrzymać! Przejechaliśmy stację! Rozpaczliwym ruchem lekko odsunęła rozdzielającą ich szybę i klepnęła kierowcę w ramię.

- Czy pan nie słyszy? Musimy zawrócić!

Z lusterka wstecznego spoglądała na nią para roześmianych oczu. Ależ to nie były oczy tego człowieka z garażu! Jean zaparło dech w piersi.

Samochód pędził przez gęsty tuman mgły. Jean opadła na siedzenie i wybuchnęła niepohamowanym szlochem...

Zatrzymali się tak gwałtownie, że Jean najpierw wtoczyło w fotel, a potem wyrzuciło do przodu.

- Przecież powiedziałem, że zawiozę cię do Norchester - oświadczył rozbawiony głos, który Jean doskonale znała.

- Peter!

- We własnej osobie. A tyś myślała, że kto?

- Ale... gdzie jest kierowca?

- Prawdopodobnie pije herbatę w garażu. To mój stary kumpel. Jak widzisz, Jean, nadal potrafię czytać w twoich myślach. Wiedziałem, że spróbujesz dostać się do Norchester na własną rękę. Po prostu odziedziczyłaś dumę Lairdów. A w Saltcreek jest tylko jedna agencja wynajmująca samochody. Właściciel obiecał mi po kilku drinkach, że będę mógł wystąpić w roli kierowcy.

- Och, Peter! - Jean wahała się pomiędzy uczuciem wściekłości a ulgą. - Przez ciebie o mało nie umarłam ze strachu! Dlaczego od razu nie powiedziałeś, że to ty?

- To taki żarcik - roześmiał się. Ale teraz tak czy inaczej nie masz już odwrotu, Jean. Jeśli będziesz grzeczną dziewczynką, zaproszę cię na obiad.

- Ale ja...

- Żadnych sprzeciwów. W południe kancelaria i tak jest zamknięta.

- Więc dobrze. Ale obiecaj, że będziesz jechał wolniej.

- Dziewczyno, znam te drogi jak własną kieszeń. Chyba nie myślisz, że mógłbym dopuścić, aby mojej małej Jean stało się coś złego?

Jean odetchnęła z ulgą. Peter zawsze lubił jej płatać figle. Prawdopodobnie nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że taka eskapada mogła ją śmiertelnie przestraszyć.

Dominic nigdy nie naraziłby jej na taki strach...

Nagle przeszło ją uczucie bólu tak dojmujące, że musiała zacisnąć wargi.

Peter jechał znacznie ostrożniej i wkrótce zatrzymał się przed małą restauracją. Kiedy Jean wysiadła, wziął ją za rękę i powiedział:

- Wybaczysz mi, że cię porwałem i tak bardzo wystraszyłem? Widzisz, ja po prostu okropnie się o ciebie bałem, moja droga.

- Czy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo? Spojrzał na nią poważnym wzrokiem.

- Na pewno sama zdażyłaś się już zorientować. Są ludzie, którzy bardzo chcieliby się dowiedzieć, co znajduje się w tym kuferku.

- A jeśli on jest pusty? Tego nie można wykluczyć. Peter potrząsnął głową.

- To niepodobne do naszej babki. Chyba masz świadomość, że jego zawartość stanowi majątek.

- Jakież klejnoty?

- Babka nie miała drogocennej biżuterii. - Pochylił się ku niej; oczy mu błyszczały. - To nie są również pieniądze. Zapisała mi wszystko, co posiadała. A przecież babka bardzo cię kochała. Musiała ci zostawić coś cennego!

- To niewielka skrzynka. Niewiele się w niej zmieści.

- Ale babka na pewno do ciebie napisała. Może udzieliła ci jakichś wskazówek?

Jean energicznie potrząsnęła głową. Drżała z zimna i nerwowego napięcia.

- Wejdźmy już do środka. Chciałabym coś zjeść. Peter znów wziął ją za rękę.

- Pytałaś mnie, czy pamiętam ostatni wieczór przed twoim wyjazdem do Nowej Zelandii. - Peter przemawiał do niej pieszczotliwym, czułym tonem. Mam doskonałą pamięć, najdroższa. Ale chciałem się z tobą podroczyć i dlatego udawałem, że nie mogę sobie przypomnieć. Powiedziałem

wówczas mniej więcej tak: „Wydaje mi się, że mógłbym cię pokochać!”

Jean oblała się rumieńcem. Gdzieś we mgle jakiś samotny ptak wyśpiewywał pełną skargi piosenkę.

- I to jest prawda - szepnął Peter. - Zawsze cię kochałem.

Ich spojrzenia spotkały się. Ale dlaczego nagle przypomniała sobie gorzkie, przykre słowa starej kobiety?

„Daj sobie z nim spokój, moje dziecko. W jego sercu jest miejsce tylko dla niego samego...”

Peter spoglądał na nią roześmianymi, ciemnymi oczami. Z wolna jednak zmieniał się wyraz jego twarzy. Uśmiech zamarł mu na ustach.

- Myślałem, że czujesz do mnie to samo - rzekł. Widocznie się pomyliłem. Wcale mnie nie kochasz.

Zbyt długo zwlekała. Powinna była natychmiast oświadczyć: „Kocham cię, Peter. Nigdy o tobie nie zapomniałam. Wyjdę za ciebie i będę wierną żoną”.

Dlaczego milczała? Peter wydał jej się naraz obcy, jakby pomiędzy nimi stanął duch Sary Laird.

Ale ujrzała przed sobą twarz Dominica. Nagle sobie uświadomiła, że kocha go całym sercem. Dominic, który rozbudził w niej uczucia, jakich wcześniej nigdy nie doznała: pragnienie, by czuć jego dotyk, jego pocałunki na swoich ustach. Dominic, który ją zdradził.

Nagle Peter wybuchnął donośnym śmiechem.

- Mój Boże! Cóż za miejsce na oświadczyny! - Wskazał ręką na opustoszały parking. - Wiesz co, Jean, przez moment wyglądałaś jak babka Laird. Miałem wrażenie, jakby to ona patrzyła na mnie twoimi oczami. - Pochylił się i lekko pocałował ją w policzek. - Zastanów się nad moją propozycją - powiedział. - Potem zapytam cię jeszcze raz,

Jean nie wiedziała, co je ani co pije. Słowa Petera, który próbował ją wciągnąć w żartobliwą konwersację, docierały do

niej jak przez mgłę. Kiedy później wjechali do miasta, zaczęła się gorączkowo zastanawiać.

Ze mną jest chyba coś nie w porządku, pomyślała. Przez tyle lat tęskniłam ze Peterem, a teraz, kiedy mi się oświadczył, nie wiem, co zrobić. Kiedyś go kochałam. Uważałam tę miłość za jedyny stały punkt w świecie pozbawionym miłości. I nagle wszystko się skończyło. Ta miłość należała już do przeszłości. Teraźniejszość zmieniła ją samą i jej uczucia. Jakże mogła myśleć, że Peter pozostał tym samym nieskomplikowanym chłopcem, w którym zakochała się jako nastolatka? Dziesięć lat nie mogło nie pozostawić w nim żadnego śladu.

Jean z zaskoczeniem stwierdziła, że już dojechali do Norchester. Peter trochę zwolnił.

- Tutaj nie mogę zaparkować, ale ty możesz szybko wysiąść. Znajdę jakiś parking w pobliżu.

Biuro notarialne mieściło się na pierwszym piętrze nowego budynku. Peter wprowadził Jean do pomieszczenia, w którym siedziała młoda sekretarka.

- To jest pani Laird - oświadczył Peter. - Pan Miller oczekiwał jej w tym tygodniu.

- Proszę za mną - powiedziała dziewczyna wstając z miejsca,

- Widzisz! - Peter rozpromienił się. - Teraz spokojnie mogę zaparkować samochód. Wszystko pójdzie jak z płatka.

Jean zaczęła żałować, że sprawiła mu taką przykrość. Pocciwy Peter. Tak bardzo się o nią troszczył.

- Do zobaczenia - powiedziała i odprowadziła wzrokiem Petera, który wyszedł z kancelarii.

Sekretarka zaprowadziła Jean do biura mieszczącego się na końcu długiego korytarza. Jean podziękowała i weszła do środka, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

W następnym momencie wydawała okrzyk zdumienia. Wysoki, przystojny mężczyzna, który właśnie podniósł się zza biurka, nie był jej nie znany.

- Dominic - wyjąkała. - Ty tutaj? Ale co ty...

Dominic w milczeniu pochylił głowę. Wyglądał teraz zupełnie inaczej niż tamten swobodnie ubrany mężczyzna, który sprzedawał antyki. Miał na sobie elegancki, granatowy garnitur i spoglądał na Jean czujnym wzrokiem.

- Chyba... chyba nie jesteś Frankiem Millerem? - spytała zdezorientowana.

- Mój jedyny związek z tą kancelarią polega na tym, że Frank Miller jest moim starym przyjacielem.

- Więc po co tu przyszedłeś? - spytała, gdy pierwsze zaskoczenie ustąpiło miejsca złości. - I gdzie jest Frank Miller?

- Zaraz przyjdzie. A teraz co do mojej tu obecności. Mam nadzieję, że pozwolisz mi reprezentować twoje interesy.

- Nie pozwolę!

- Popełniasz wielki błąd - stwierdził Dominic nieoczekiwanie ostrym tonem. - Chyba już zdajesz sobie sprawę, że sama sobie nie poradzisz. Od momentu, gdy stanęłaś na angielskiej ziemi, nieustannie grozi ci niebezpieczeństwo.

Jean miała nerwy napięte do granic możliwości.

- Nie rozumiem, o czym mówisz,

- Skoro tylko odbierzesz kuferek, twoje życie nie będzie warte złamanego grosza.

- Nie wierzę ci.

- Czy sądzisz, że mógłbym cię okłamać? Bez względu na to, co o mnie myślisz, mogę cię zapewnić, że chodzi mi tylko o twoje bezpieczeństwo. Miałem nadzieję, że dzisiaj się tu nie pojawisz. Powinnaś być na tyle mądra, żeby wsiąść do

pierwszego lepszego pociągu i najpierw pozbyć się śledzących cię szakali.

- Po prostu musiałam przyjechać! Nie mogłam dłużej znieść tej wiecznej nagonki i śledzenia! - wybuchnęła. - Wszyscy się na mnie uwzięli. A ty wcale nie jesteś lepszy - powiedziała z wyrzutem. - Zataiłeś przede mną, że znałeś moją babcię.

Oczy Dominica błysnęły, ale rzekł chłodno:

- Skoro i tak o tym wiedziałaś, to dlaczego mnie po prostu nie spytałaś?

- Byłeś u babci na tydzień przed jej śmiercią!

- A jeszcze wcześniej dwa razy. To była urocza starsza pani. Polubiłem ją. Chwilami miałem wrażenie, że i ona mnie lubi.

Jean nic nie odpowiedziała. Była przekonana, że Dominic mówi prawdę. Sara Laird rzeczywiście mogła go uznać za sympatycznego.

- Muszę się dowiedzieć, co jest w tym kuferku, Dominicu.

- Skoro tylko poznasz jego zawartość, nie będę już mógł cię ochronić - stwierdził. - Chyba że jednoznacznie wyrazisz na to zgodę.

- A dlaczego miałabym ci ufać bardziej niż innym? Ty też mnie okłamałeś.

- To prawda - przytaknął. - Ale nie wiesz, jakie miałem powody.

Nim zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i do pokoju wbiegł młody, korpulentny człowiek.

- Panna Laird? Przepraszam, że musiała pani czekać. Na szczęście mógł panią przyjąć Dominic. Rozumiem, że jesteście państwo dobrymi znajomymi. Na pewno chce pani, żeby Dominic był obecny przy przekazywaniu spadku?

- Myślę, że zrobię to sama, panie Miller. Dominic Regan z pewnością ma ważniejsze zajęcia.

Frank Miller przez chwilę nic nie mówił, tylko patrzył na nią zdumionym wzrokiem. Pierwszy odezwał się Dominic:

- Zadzwoń do ciebie później, Frank. Dziękuję, że pozwoliłeś mi skorzystać z twojego biura. Do widzenia, Jean.

Frank Miller odprowadził go do drzwi.

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Muszę wracać do Londynu. Moja misja dobiegła końca.

Jego słowa trafiły Jean jak uderzenia pejcza. Chciała do niego podbiec, zatrzymać go. Ale Dominic już był na korytarzu. Frank Miller zamknął za nim drzwi.

- Czy on naprawdę wyjeżdża do Londynu? - spytała wstrzymując oddech.

- Myślę, że tak. Jeśli Dominic coś powie, to zwykle tak robi. - Spojrzał na jej zaleknioną twarz. Czy chce pani, żebym go zawołał? Spóźniłby się na swój pociąg...

- Nie, nie. To nie jest konieczne - odparła pośpiesznie. Jej serce ogarnęło uczucie pustki.

- Cóż, panno Laird, najpierw muszę panią prosić o jakiś dowód tożsamości. Paszport, świadectwo urodzenia albo cokolwiek innego.

- Mam przy sobie wszystko.

Jean była zrozpaczona. Dominic odjechał. Na zawsze. I to ona go odtrąciła.

- Papiery są w porządku - stwierdził Frank Miller zwracając jej dokumenty. - - W takim razie wyciągniemy teraz pani kuferek.

Otworzył ciężki, stalowy sejf i wyjął marynarski kuferek Silasa Lairda. Do wieka przymocowana była sznurkiem zapieczetowana koperta.

- W kopercie znajduje się klucz - wyjaśnił Miller, stawiając skrzynkę na biurku. - Czy chciałaby pani teraz zostać sama?

- To nie jest konieczne.

Pośpiesznie rozerwała kopertę i włożyła klucz do masywnego zamka. Po chwili wahania podniosła wieko.

Na dnie kuferka leżała niewielka, pożółkła paczuszka. Jean z trudem odcyfrowała na wpół wyblakłe litery. Sześć widokówek z Saltcreek.

Z niedowierzaniem popatrzyła na Franka Millera. W milczeniu wyjęła paczuszkę i rozłożyła jej zawartość na biurku. Leżało przed nią pół tuzina pożółkłych ze starości widokówek: latarnia morska, port rybacki, kościół, „Galeon”, plaża... Kobiety przechadzały się wzdłuż starego, od dawna już nie istniejącego mola i siedziały na plaży pod parasolami.

Galeon na szyldzie wypływał pod pełnymi żaglami w morze. Na odwrocie widniały słowa napisane zdecydowanym, wyraźnym pismem Sary Laird: „To pomoże ci podjąć decyzję. Twoja kochająca Cię babcia”.

Rozdział 8

Frank Miller niepewnym gestem przygładził sobie włosy.

- Dokładnie pamiętam tamten dzień - rzekł. - Pani babka weszła do biura i usiadła. „Byłam w szpitalu, powiedziała. Najwyższy czas, żebym spisała testament”. Bardzo bezpośrednia starsza pani. Sprawiała wrażenie nadzwyczaj rozsądnej kobiety. Nie rozumiem więc, dlaczego... Gestem ręki wskazał na widokówki i z nieszczęśliwą miną spojrzał na Jean. „Niewiele mogę zostawić w spadku, ciągnęła. Ale „Sea Cottage” otrzyma mój wnuk, Peter”. Jeszcze dziś pamiętam, jak roześmiała się i dodała: „Niech on to weźmie, bo jemu wszystkiego za mało. Kiedy już mnie nie będzie, porąbie wszystko na kawałki i sprzeda. Ale tego właśnie chcę. W moim domu mieszkało już dość Lairdów”.

- Muszę pani powiedzieć - kontynuował Miller - że próbowałem ją namówić, aby zapisała ten dom pani. „Mężczyźni, odparła, idą swoją drogą. Ale młode kobiety, zwłaszcza gdy nie są zamężne, potrzebują oparcia”. W żaden sposób nie dała się przekonać. „Nie chcę, upierała się, żeby moja wnuczka mieszkała w Saltcreek. To droga ku przeszłości. Ja jej pokażę, gdzie jest przyszłość”. Potem poprosiła, żebym przechował kuferek, a potem osobiście wręczył go pani.

Jean wzięła widokówki do ręki i jeszcze raz im się przyjrzała. Musiały zawierać jakieś przesłanie, tylko że ona nie potrafiła go odczytać. Widziała przed sobą jedynie sześć starych widokówek, pochodzących sprzed ponad czterdziestu lat.

- Bardzo mi pan pomógł - powiedziała uśmiechając się z wysiłkiem. - Proszę sobie nie robić wyrzutów. W tej chwili wprawdzie nie mam pojęcia, co wyrażają te pocztówki, ale może w końcu do tego dojdę.

Jean już miała włożyć zawartość paczuszki z powrotem do kufereka, w ostatniej chwili jednak się zawahała. Wyjęła z koperty widokówkę z „Galeonem” i włożyła ją do kieszeni płaszcza. Jeśli któraś z widokówek zawierała przesłanie, to prawdopodobnie ta, na której coś napisała Sara Laird.

- Jeśli pani chce, to może pani zostawić kuferek u mnie i odebrać go innym razem - zaproponował Frank Miller. - Jest trochę nieporęczny.

- Czeka na mnie kuzyn z samochodem - oświadczyła Jean, podnosząc kuferek. - Bardzo dziękuję za pańską uprzejmość, panie Miller. Do widzenia!

Ale Peter jeszcze się nie pojawił w kancelarii.

- Może nie znalazł parkingu - zasugerowała sekretarka. - Mgła nadal jest bardzo gęsta.

Stojąc w biurze z nieporęcznym kuferekiem w rękach, Jean zaczęła się niepokoić. Peter obiecał, że po nią przyjdzie. Przecież do tej pory musiał znaleźć jakieś miejsce do parkowania.

Nagle przyszło jej do głowy, że mógł czekać na zewnątrz. Przystanęła przed drzwiami budynku. Mgła jakby jeszcze bardziej zgęstniała. Przechodnie przesuwali się obok niej jak duchy. Przejeżdżające samochody widoczne były tylko w postaci cieni.

Kuferek zaczynał jej coraz bardziej ciążyć. Nie była przygotowana na taki obrót sprawy. Ponownie znalazła się w zagadkowej sytuacji. A jedyny człowiek, który mógłby jej pomóc, Dominic Regan, właśnie odjechał. Sama go odesłała. Jean niepokoiła się coraz bardziej. Sytuacja stawała się nie do zniesienia: przecież dłużej nie mogła tak beczynnie wystawać na ulicy. Zrobiła kilka kroków w prawo. W tym miejscu od ulicy odchodziła wąska, opustoszała aleja.

- Panno Laird, proszę zaczekać! - usłyszała za sobą głos i odwróciła się. Przez mgłę dostrzegła, jak zbliża się do niej

krępa, masywna postać. Teraz go poznała. Był to Amerykanin, George Russel.

- Panno Laird, proszę zaczekać!

Kiedy ujrzała, że George Russel wyciąga ku niej rękę, rzuciła się do panicznej ucieczki. Pędziła pustą aleją, uskrzydлана strachem. Za plecami słyszała szybkie kroki prześladowcy.

Mgła szczypała ją w oczy, tamowała jej oddech. Kuferek, który ścisnęła pod pachą, boleśnie wrzynał się jej w bok. Wydała zdławiony okrzyk, gdy potknęła się o krawężnik i omal nie upadła.

W tym samym momencie poczuła na szyi czyjeś dłonie. Dławiąc się, z trudem chwyciła powietrze, jednak coraz silniejszy nacisk palców w końcu pozbawił ją przytomności. Upadając poczuła jeszcze, jak ktoś wyrywa jej kuferek...

Powoli dochodziła do siebie, nabierała powietrza w obolałe płuca. Żyła!

Od strony głównej ulicy dobiegał przytłumiony warkot samochodów. Prześladowca zniknął bez śladu. Zbliżała się do niej grupka uczniów. Jean poszła za nimi, jakby instynktownie szukając ochrony.

Na dworcu przystanęła na chwilę, starając się uporządkować myśli. Bolała ją szyja, a od czasu do czasu ogarniała ją fala mdłości.

A więc odebrano jej kuferek. Prawdopodobnie w tej chwili George Russel rozbijał go na drobne kawałki, żeby dostać się do jego zawartości. Minęła się z Peterem. Gdyby jej kuzyn zapytał teraz o nią w kancelarii, sekretarka odpowiedziałaby mu, że Jean już poszła. Prawdopodobnie nie będzie jej szukał, tylko od razu wróci do Saltcreek.

Jean zdawało się, że śni. Kupiła bilet i wsiadła do pociągu. Bardzo potrzebowała bliskości innych ludzi.

Przez cały czas ukradkiem oglądała się za siebie, czy George Russel nie idzie jej śladem. Może z wściekłości i rozczarowania - kuferek był przecież pusty - zechce się na niej zemścić?

Jean przycisnęła rozpalone czoło do szyby. Dlaczego babcia włożyła do kufereka te widokówki? Musiało nią powodować coś naprawdę ważnego, Jean była tego pewna. Drżącymi palcami wyciągnęła pocztówkę z kieszeni płaszcza i jeszcze raz przeczytała to, co Sara Laird napisała na odwrocie; „To pomoże ci podjąć decyzję”.

O jaką decyzję mogło tu chodzić? Ogarnęło ją uczucie przygnębienia. W ogóle się nie domyślała, co to wszystko miało znaczyć.

Na stacji końcowej czekał już autobus. Oprócz Jean wsiadło jeszcze kilku innych pasażerów. Jazda do Saltcreek wydawała się ciągnąć w nieskończoność.

- Mgła szybko się przerzedzi - powiedział do niej kierowca, gdy wreszcie dojechali do Saltcreek. - Może być pani pewna, że jutro będzie piękny dzień.

Ale do jutra było jeszcze daleko, i Jean nie miała pewności, czy dożyje do rana. Do kogo mogła się zwrócić o pomoc? Po co właściwie wróciła do Saltcreek?

Postanowiła rozwikłać zagadkę tajemniczego testamentu babki. Rozwiązanie można było znaleźć tylko tutaj, w Saltcreek. Nigdy więcej nie zaznałyby spokoju, gdyby teraz nie uchyliła rąbka tajemnicy. Musiała do końca rozprawić się z cieniami przeszłości.

Nagle przypomniała sobie o Joshu Tamlinie. On i jego żona dobrze znali Sarę Laird. A Josh Tamlin był poprzednim właścicielem „Galeonu”, gdzie w izbie szynkowej wisiał portret wuja Harveya.

Ujrzawszy Jean, Mary Tamlin zrobiła zaskoczoną minę.

- Moja droga Jean! Wybierasz się w odwiedzin przy takiej pogodzie? Wejdz, zaraz zagotuję gorącej herbaty.

- Proszę sobie nie robić kłopotu. Właściwie to chciałam porozmawiać z Joshem. To dla mnie bardzo ważne.

Mary Tamlin popatrzyła na nią zaniepokojonym wzrokiem.

- Jest już późno, a on teraz tak szybko się męczy. Mam nadzieję, że go nie zdenerwujesz?

- Obiecuję.

- Zaczekaj tutaj, sprawdzę tylko, czy przypadkiem nie zasnął.

Mary Tamlin weszła do przyległego pokoju. Jean dobiegł szmer głosów. Zaraz potem starsza pani dała jej znak, że może wejść.

- Pośpiesz się - szepnęła. - Josh jest dzisiaj strasznie osłabiony i może zasnąć w pół słowa.

Josh był już bardzo stary i schorowany. Jean ze smutkiem stwierdziła, że mocno postarzał się przez ostatnie dziesięć lat. Ale powitał ją z rozradowaną twarzą i serdecznie uścisnął jej dłoń.

- Od razu cię poznałem, Jean. Jesteś prawdziwą Lairdówną. Jaka szkoda, że druga gałąź twojej rodziny nie rozwinęła się tak dobrze.

- Przychodzę w sprawie wujka Harveya - wyjaśniła Jean, siadając obok niego.

- Ależ on już tak dawno zmarł - zdziwił się Josh, po czym wybuchnął starczym chichotem. - Harvey należał do moich najlepszych klientów. Pił jak smok, ale nigdy nie widziałem go pijanego.

- W dzieciństwie bardzo lubiłam wuja - przyznała Jean. - Szkoda, że nie znałam go lepiej. Chętnie zadałabym mu kilka pytań.

Josh mrugnął do niej znacząco.

- Harvey Laird miał swoje tajemnice. Kilka z nich zabrał do grobu. Po jego śmierci wielu ludzi mnie o niego wypytywało. Ale nie mogłem udzielić im odpowiedzi, jakiej oczekiwali. Na przykład ten Carfax bez przerwy wiercił mi dziurę w brzuchu.

Nagle Jean wydało się, że Josh zapada w drzemkę, spytała więc szybko:

- A jak to było z szyldem, to znaczy, z tym namalowanym galeonem? Czy to miało jakieś znaczenie dla mojej babci?

Josh spojrział na nią rozwartymi ze zdziwienia oczami.

- Pewnie tak. Skoro namalował go jej własny syn... Jean głęboko nabrała oddechu.

- To wuj Harvey namalował szyld? - spytała z niedowierzaniem.

- Właśnie on. Kiedy źle mu się wiodło, tuż po wojnie. - Josh uśmiechnął się z rozbawieniem. - Coś tam wtedy przeszkrobał, ale to już stare dzieje. A więc pewnego razu przyszedł do mnie i powiada: „Nie potrzebujesz czasem pięknego, nowego szyldu dla twojej gospody? Wziąłbyś go w zamian za moje długi i bylibyśmy kwita”.

„Na co mi nowy szyld? zapytałem. Stary wprawdzie trochę już wyblakł, ale dopóki żyję, taki mi wystarczy”.

„Niech cię diabli wezmą, wrzasnął Harvey. Ty stary kutwo! Oferuję ci swój artystyczny geniusz za kilka butelek whisky, a ty jeszcze marudzisz!” - Josh roześmiał się tak gwałtownie, że zadrżały mu wychudzone barki. - W końcu musiałem ustąpić, i Harvey namalował nowy szyld. Kazał go oprawić w szkło i sam powiesił. Bardzo ładny był ten szyld! Słyszałem, że ta młoda dama ze sklepu z antykami zostawiła go na dawnym miejscu.

Jean chciała o coś spytać, ale tym razem Josh naprawdę zasnął. Wstała cicho i poszła do Mary, która czekała na nią w kuchni.

- Śpi, prawda? - szepnęła siwowłosa kobieta. - Czy powiedział ci wszystko, czego chciałaś się dowiedzieć? - Mary spojrzała na Jean badawczym wzrokiem. - Czy przypadkiem nie pojechałaś dzisiaj odebrać spadku? Wiele razy zadawałam sobie pytanie, co Sara włożyła do tej starej skrzynki.

Jean uśmiechnęła się.

- Coś prawie zupełnie bezwartościowego. Mary Tamlin popatrzyła na nią zaskoczona.

- Przecież to niemożliwe! Wprawdzie nie miałam pojęcia, co jest w środku, ale sama pomagałam Sarze zawinąć kuferek w materiał, zanim pojechała z nim do Norchester. „Co chcesz z tym zrobić?” spytałam. „Bardzo starannie wybrałam zawartość, odparła. To jest przeznaczone dla mojej wnuczki. Jean na pewno będzie wiedziała, dlaczego włożyłam jej część spadku do starego kufereka Silasa”.

Kiedy Jean nic nie odpowiedziała, Mary poprosiła:

- Ależ usiądź i odpocznij chwilkę, Jean. Jesteś taka blada i zmęczona.

- Mam jeszcze coś do załatwienia, zanim opuszczę Saltcreek - powiedziała Jean i pożegnała się z Mary Tamlin. Potem szybkim krokiem ruszyła do „Galeonu”.

W dawnej gospodzie było ciemno, tylko latarnia uliczna oświetlała fasadę. Jean podniosła wzrok. Mgła trochę się uniosła, i w dali mogła dostrzec nawet błyski boi świetlnej.

Ponad jej głową wisiał szyld, chroniony grubym szkłem: galeon żeglował prosto w kierunku gospody...

W kierunku gospody...

Drżącymi palcami Jean wyciągnęła pożółkłą widokówkę i uniosła ją do światła. Była to stara fotografia gospody, a galeon na szyldzie żeglował w kierunku otwartego morza...

„To pomoże ci podjąć decyzję...”

Przed oczami Jean, jak w filmie, przesunął się łańcuch zdarzeń.

Dominic, pochylający się nad starą kobietą, która uparcie odmawiała mu pomocy. Peter, zerkający na nią ukradkiem i mówiący: „Zawsze cię kochałem, Jean”. Carfax, wyszczerzający zęby jak jego okropny pies i próbujący jej wmówić: „Między nami nigdy nie było żadnych tajemnic...”

Ale wuj Harvey umarł za wcześnie. Nie zdążył już powierzyć swojej ostatniej tajemnicy Carfaxowi. Dlatego, jak wszyscy inni, tak się palił, żeby wydrzeć tę tajemnicę jego bratanicy.

Wszyscy oni musieli czekać, aż Jean przyleci do Anglii. Jak sfora wygłodniałych psów, która tylko czeka, aż zostanie poszczuta na zwierzynę.

Drżącymi palcami porwała pocztówkę na drobne kawałki i odczekała, aż wiatr je rozwieje.

Odszyfrowała przesłanie babki.

W końcu, jakby przebudziła się z ciężkiego snu, zaczęła się wspinać stromą ścieżką do „Sea Cottage”. Było ciemno, ale drzwi ustąpiły pod naciskiem jej palców. Jej kroki odbiły się echem, gdy weszła do pustego pokoju. Ostrożnie wymacała przełącznik światła.

Na stole stał marynarski kuferek Silasa Lairda. Aksamitne obicie było rozprute, obok podartych pocztówek leżały nożyczki. Jean podniosła wzrok i spojrzała na portret Silasa Lairda wiszący nad kominkiem.

Silas spoglądał na nią spod ciężkich powiek. Na jego twarzy malowała się podłość i zdrada. Jean poczuła na plecach dreszcz.

Ale z obrazu patrzył na nią nie tylko Silas Laird. Jednocześnie widziała Harveya Lairda z jego przebiegłym uśmiechem i miną spryciarza.

A poza tym, tak, to nie ulegało żadnej wątpliwości, widziała swojego kuzyna Petera.

Jean miała wrażenie, że za chwilę straci przytomność i osunie się na podłogę.

Na obrazie był również Peter, którego zawsze widziała, ale nigdy nie potrafiła dostrzec jego wad. Był to człowiek równie zły i niebezpieczny, jak stary Silas Laird.

Kiedy wreszcie oderwała oczy od obrazu, dostrzegła Petera, który już od dłuższej chwili musiał stać obok niej. Głowę lekko przechylił na bok, uśmiechał się podobnie jak stary pirat na obrazie.

- Teraz wiem, jaki naprawdę jesteś - powiedziała. Peter roześmiał się cicho.

- Potrzebowałam sporo czasu, by stwierdzić, że w niczym nie ustępuję starymu Silasowi.

Jean wpatrywała się w niego nieruchomym wzrokiem.

- Nigdy mnie nie kochałeś - szepnęła boleśnie. Wargi zdrząły mu w złośliwym uśmiechu.

- Nie w ten romantyczny, czuły sposób, jaki dla ciebie kojarzy się z miłością. Ja chciałem cię mieć, Jean. I żeby cię zdobyć, byłem gotowy nawet udawać miłość. I miałbym cię, gdyby los nie rzucił cię na drugi koniec świata. Już w czasie naszego ostatniego lata wyrosłaś na cudowną dziewczynę, tylko że o tym jeszcze nie wiedziałaś. Pragnąłem ciebie, Jean, ale na swój własny sposób.

Jean nic nie odpowiedziała. Myślała o tym, jak wołała do babki: „Peter mnie kocha! I kiedy już będzie mężczyzną...”

„Cóż,” wtedy będzie kochał jak mężczyzna. Ale czy to będzie odpowiedni mężczyzna dla ciebie, Jean?”

Sara Laird nigdy nie zapomniała swojego pytania, nawet na pocztówce napisała, że Jean powinna podjąć właściwą decyzję...

Patrząc na Petera w tym pustym pokoju, Jean nabrała przekonania, że odpowiedź może być tylko jedna: nie. Peter rzeczywiście nie był dla niej odpowiednim mężczyzną.

- Czy dlatego mnie unikałeś? - spytała w końcu.

Peter zaśmiał się drwiąco.

- Naturalnie. Moje podobieństwo do starego Silasa jest uderzające. Nie da się zaprzeczyć, że się w niego wrodziłem. We mnie skumulowały się wszystkie cechy Silasa. Wskazał ręką na stół. Jean, skarbie, gdzie jest ostatnia pocztówka?

- Ostatnia...

- No już, Jean. chyba nie uważasz mnie za głupca. W paczuszce musiało być sześć pocztówek. Co jest na tej ostatniej? I co babka napisała na odwrocie?

Mówił tak spokojnie, że niewiele brakowało, by mu odpowiedziała. Teraz jednak już wiedziała, jak bardzo Peter podobny jest do starego Silasa, do tego łotra o ciemnych oczach i włosach.

- Ta kartka była przeznaczona dla mnie.

- Ja mam do niej takie samo prawo - wtrącił szybko. Roześmiał się. - A więc miałem rację. Szósta pocztówka istnieje. I wskazuje, gdzie jest ukryty Caravaggio...

- Caravaggio... - wyjąkała zaskoczona Jean. - Co to ma znaczyć?

Peter nawet nie próbował ukryć swojej pogardy.

- Jedynym obrazem, którego policja nie odnalazła, był Caravaggio. Oni wiedzieli, że Harvey gdzieś go ukrył. Bo widzisz, mój ojciec zwrócił się do właścicieli i chciał im zwrócić obraz za pokaźną sumę. Ale przed policją zaklinał się na wszystkie świętości, że już go zniszczył. Nic mu nie mogli zrobić. Jednak ja wiedziałem, że nie mówił prawdy. Znalazłem ekspertyzę potwierdzającą autentyczność obrazu. Wówczas był to gorący towar, ale jeśli Harvey ukryłby obraz na kilka lat, to mógłby go później sprzedać. Ojciec był gotów

czekać nawet dwadzieścia lat, gdyby to miało się okazać konieczne. Peter wzruszył ramionami. Babka wiedziała, gdzie on ukrył obraz. Usiłowałem to z niej wydobyć. Nawet kiedy była już stara i chora, nie odwiedzałem jej. Miałem nadzieję, że w końcu jednak zmięknie. Ale wiesz, jaka ona była - ciągnął dalej Peter. - Wpadła na szalony pomysł, żeby kiedyś zwrócić Caravaggia właścicielom. Mogłaby to zgłosić policji, ale miała już dość kontaktów ze stróżami porządku publicznego. Ja jednak wiedziałem, że w końcu komuś ten obraz przekaże. I jej wybór padł na ciebie, moja droga Jean. Byłaś ostatnim żyjącym i uczciwym członkiem rodziny uśmiechnął się.

Jean spojrzała na niego. Usta miał rozciągnięte w uśmiechu, ale twarz wykrzywiała mu nienawiść i wściekłość.

- Kiedy odbierałem ci dzisiaj ten kuferek, mogłem ci ukrećć szyję, droga Jean. Ale jak zwykle postąpiłem głupio i jeszcze raz pozwoliłem ci ujść z życiem.

- Ktoś mógłby cię zobaczyć - wyszeptała suchymi wargami.

- Nie sądzę. Czekałem przed biurem Millera. Potem widziałem, jak wychodzi ten Regan. Powiedział mi, że wyjeżdża do Londynu. Ale musiałem mieć stuprocentową pewność. Zadbalem o to, żeby przestał nam się narzucać.

Obojętnym gestem wyciągnął z kieszeni krótki, stalowy pręt.

- Miał szczęście, że było mglisto. Uderzenie, jakie mu zadałem, łatwo mogłoby go pozbawić życia.

Jean zawołała przerażonym głosem. Peter zaczął się do niej zbliżać. Cofała się, aż natrafiła na masywny stół.

- Muszę być bogaty, Jean. Nie chcę być takim golcem jak ojciec. I jeśli to będzie konieczne, nie cofnę się przed niczym.

Jego dłonie znów zacisnęły się na jej szyi. Jean próbowała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z gardła żadnego dźwięku.

Jak przez mgłę usłyszała, że gdzieś w domu zatrzasnęły się drzwi. Jakiś mężczyzna skoczył na Petera jak drapieżny kot i uwolnił ją z jego rąk.

Ale Peter nie dał się obezwładnić. Wyrwał się z uchwytu napastnika i pędem wybiegł z pokoju. Jean usłyszała, jak samochód z piskiem opon wyjeżdża z podwórza...

- Jesteś ranna, Jean? - - Dominic czule przyciskał ją do swojej piersi.

- A ty, Dominicu? Peter mówił, że usiłował cię zabić.

- Na szczęście trafił nie tego, co trzeba. Ale pomagając pobitemu, straciłem Petera z oczu w tej mgle.

- Dlaczego nie jesteś w Londynie?

- Chyba nie sądziłaś, że zostawię cię samą. Kilka razy prosiłem twoją babkę, żeby mi zdradziła, gdzie jest ukryty obraz. Ale ona była już stara i chora i chciała, żebym ją zostawił w spokoju. Ale to była uczciwa, szczerą kobieta. Obiecała, że jej wnuczka powie mi pewnego dnia, gdzie znajduje się obraz. Musiałem się tym zadowolić. Przyznam jednak, że aż się paliłem z niecierpliwości. Chciałem odnaleźć obraz. Twoja babka wiele mi o tobie opowiedziała, Jean. Kiedy w końcu przybyłaś do Anglii, miałem wrażenie, że znam cię od dawna. Znam i... Kocham - dodał czułym tonem. - Peter dosłownie wywrócił cały dom do góry nogami. Musiał się pnieć z wściekłości, kiedy osiadł tutaj stary kompan jego ojca, Donald Carax. Ale Carfax nie wiedział więcej niż inni.

Nagle w sieni rozległ się gwar głosów. Ktoś powiedział:

- Przekazał pan numer rejestracyjny wszystkim wozom patrolowym w okolicy? Nie mógł przejechać więcej niż tuzin przecznic.

- Tutaj mgła powoli rzednie, sir. Ale dalej widoczność nadal jest bliska zera. Jeśli nie zwolni tempa, to wyląduje na najbliższym drzewie.

Czuając, że Jean zadrżała, Dominic mocniej przytulił ją do siebie. Do pokoju wszedł George Russel. Prawy policzek miał oszpecony ogromnym siniakiem.

- Zwiął nam - oznajmił, - A pan powinien był jednak pilnować dziewczyny. Przecież było jasne, że Peter Laird będzie jej chciał odebrać kuferek.

- W końcu nie mogłem tak po prostu zostawić pana na ulicy ociekającego krwią - bronił się Dominic. - Przejechałby pana pierwszy samochód. Potem zacząłem szukać Jean, ale ona już zniknęła. Byłem jednak przekonany, że Peter Laird wróci do „Sea Collage”.

- Kim... kim pan właściwie jest? - spytała Jean Russela.

- Interpol - krótko odparł Russel. - W chwili, gdy pani zarezerwowała bilet lotniczy do Londynu, została uruchomiona cała machina. Musieliśmy poinformować właścicieli zaginionego podczas wojny obrazu Caravaggia, że wkrótce będą mieli możliwość go odzyskać. Byliśmy przekonani, że Harvey Laird ukrył ten obraz, choć nigdy nie potrafiliśmy mu tego udowodnić. Pierwotni właściciele od dawna już nie żyli. Ale ich wnuk - tu wskazał ręką na Dominica - wyraził gotowość zajęcia się panią w Saltcreek.

- Właśnie dlatego nie spuszczałem cię z oczu - wyjaśnił Dominic. - Widzisz, nikt z nas nie mógł wiedzieć, czy Sara Laird rzeczywiście zostawiła informację, gdzie znajduje się Caravaggio. Poza tym istniała jeszcze możliwość, że będziesz chciała zatrzymać ten obraz dla siebie.

Jean potrząsnęła głową.

- Nie wolno kraść. Babcia zawsze to powtarzała.

- Szybko się zorientowałem, że nie masz pojęcia o obrazie - ciągnął Dominic, wciąż obejmując ją mocnym uściskiem. - Baliśmy się jednak, że Peter mógłby ci odebrać obraz. Nawet gdyby musiał cię zabić. Dlatego moja ciotka

Nicola zgodziła się przyjechać z Francji. Wynajęła dom pani Mechams i jako gospodyni przyjęła cię pod swój dach.

- Od razu się zorientowałam, że ona nigdy nie знаła babci Jean - roześmiała się w nagłym ataku hysterii.

George Russel popatrzył na nią uważnie.

- Lepiej niech pan wyprowadzi pannę Laird na świeże powietrze - powiedział do Dominica. - Szkoda, że młody Laird nam się wymknął. To bezwzględny i niebezpieczny człowiek. Zajmuje się międzynarodowym przemytem na dużą skalę. Od lat mamy na niego oko. Już dawno mogliśmy go aresztować, ale wciąż mieliśmy nadzieję, że naprowadzi nas na ślad obrazu.

- Co się tyczy obrazu, nie posunęliśmy się ani na krok - zauważył Peter.

- Myślę, że wiem, gdzie on jest - cicho odezwała się Jean.
- Nie jestem całkiem pewna, ale on musi być ukryty pod szyldem gospody, na którym namalowany jest galeon. Prawdopodobnie Harvey schował go pomiędzy dwoma obrazami z galeonem. Tylko że okręt na jego obrazie płynie w stronę lądu. Natomiast pierwotny szyld ukazywał galeon skierowany ku morzu. Tak przynajmniej wynika z widokówki mojej babci.

Dominic szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

- Co ty mówisz? A więc Caravaggio przez cały czas wisiał nad naszymi głowami?

- Harvey Laird znalazł idealną kryjówkę. Pewnie za każdym razem, gdy szedł do „Galeonu” na kielicha, śmiał się do rozpuku.

W drzwiach pojawił się policjant.

- Sześć mil stąd rozbił się biały sportowy samochód. Kierowca poniósł śmierć na miejscu.

Właściwie teraz powinnam być smutna, pomyślała Jean. Ale zbyt dobrze miała jeszcze w pamięci jego mocne dłonie zaciskające się na jej gardle.

- Chodźmy już - powiedział Dominic. - Nicola pewnie strasznie się o ciebie zamartwia.

Przed niskim domkiem Jean przystanąła.

- Na pewno chciałbyś teraz pójść do Ewy Standish - wyszeptała drżącymi wargami.

- Po co? Mojej siostrze nic nie grozi.

- Twojej... siostrze?

Dominic spojrział na nią z uśmiechem.

- Kiedy „Galeon” został wystawiony na sprzedaż, Ewa uznała, że to dobry pomysł, by zrobić z gospody sklep z antykami. Chciała się zorientować, czy przypadkiem ludzie nie wiedzą czegoś o obrazie Caravaggia. - Czule otoczył jej ramiona. - Twoja babka dotrzymała obietnicy. Nie tylko zwróciła nam obraz, lecz również sprawiła, że mogliśmy się spotkać. Nie oglądaj się za siebie, Jean. Przeszłość minęła. Liczy się tylko przyszłość.

Przytuleni do siebie spoglądali na morze. Wiatr rozwiął mgłę. Księżyc wisiał nad nim jak lśniąca perła na czarnym, aksamitnym niebie.

- Jean - Dominic szepnął jej do ucha - czy potrafisz sobie wyobrazić przyszłość u mojego boku?

Skinęła głową. Była zbyt szczęśliwa, żeby móc mówić.